

A 8250 3417

AMERYKANIN.



Powieść z czasów Kościuszki

napisał

Wł. K. Wójcicki.

Wszystko się dziwnie placie,
Na tym tu biednym świecie;
A kto by chciał rozumem wszystkiego dochodzić
I zginie, a nie będzie umiał w to ugodzić.
Jan Kochanowski.



B. 259.

Poznań,

Nakładem Mieczysława Leitgebra.

Warszawa.
Gebethner i Wolff.

Lwów.
K. Wild.

1869.

B2 12575

756883 II

A 8250



I.

Rok 1791.

Miasto Międzybórz w województwie podolskiém, powiecie latyczowskim położone, nietylko słynęło wspomnieniami historycznemi z bardzo odległych wieków, ale i zamożnością mieszkańców, liczném zabudowaniem, przemysłem i handlem, obok pięknego położenia i dziwnie powabnych okolic. Położone przy zbiegu rzeki Bożka do Bohu, wzięło ztąd swe nazwisko. Gleba rodzajna, podolska hojny plon dawała, a puszczo i lasy ciemniały w oddali i zamykały cudny krajobraz.

Międzybórz w chwili naszej opowieści w roku 1791 liczył do tysiąca domów, pomiędzy któremi było wiele kamienic murowanych i piętrowych: zdobił go w rynku ratusz i fara gotyckiej budowy. Miasto wraz z okolicznemi włościami należało wówczas do księcia Adama Czartoryskiego, jenerała ziem podolskich.

Stary, murowany zamek stał zachowany w całości, lubo o jego mury rozbijały się nieraz chmury pogaństwa. Mikołaj Sieniawski, wojewoda ruski i hetman, którego Międzybórz był własnością, umocniwszy ten zamek, wytrzymał oblężenie od Tatarów. Daremnie tłumy zajadłe liczne szturmy przypuszczały, za każdym odparte, stały drogę trupami. Widząc niemożność zdobycia tego grodu, w nocy opuścili swe leże. W roku 1615 szczupła załoga musiała patrzeć z rozpaczą, jak nowy, srogi najazd Tatarów ogniem i mieczem pustoszył żyzne okolice Podola, jak z dymem puszczał zamożne osady, a brańców wraz z trzodami pędził swobodnie na swoje stepy. Mały zastęp rycerstwa z murów zamku, który strzegł i bronił z załzawionemi oczyma, poglądał na dym pożogi ojczystej ziemi, słyszał płacz i jęki nieszczęśliwych zarówno szlachty i kmieci, gnanych pletnią wraz z żonami i dziećmi w pogański jasyr.

W roku 1657 Międzybórz był świadkiem radosnego widowiska, tu bowiem dościgniony niecny najezdzca Jerzy Rakoczy, książe siedmiogrodzki przez Stefana Czarneckiego i Jerzego Lubomirskiego, mając 30,000 wojska i 27 dział, broń złożył i podane wszystkie warunki przyjął.

Od kilkunastu dni Międzybórz nowém zawrzał życiem; nadciągnęła bowiem dywizya jenerała Kościuszki, niedawno przybyłego z Ameryki i rozłożyła się na leże w samém mieście i okolicach. Gwar, nieznany cichemu

dotąd grodu, napełniał od wschodu niemal słońca rynek, ulice i przyległe pola: jeźdźcy harcowali na dzielnych koniach, piechota spieszyła na poranne mustry, a wszyscy wracali ochotczo, weseli, z radosną piosnką do kwater swoich. — Była to wiosna w pełnym rozkwicie, bo w drugiej połowie maja, a wiosna ciepła pełna balsamicznej woni z rozmaitych drzew i kwiecica. Międzybórz wyglądał jak wielki ogród, bo przy każdym domku, przed każdym gankiem najskromniejszego dworku, szumiały lipy, brzozy i wierzby, a w małych sadach i ogródkach bielily się śnieżnym kwiatem pokryte grusze, wiśnie i jabłonie. Co rano równo z poranną zorzą gęsta mgła to z Bożka, to z Bohu, chmurą bałwaniąc się, zasiadała miasto i powoli to opadała w gęstych kroplach, to ulatniała się parą za pierwszym promieniem słońca. Lekko było każdej piersi co oddychała tak świeżym powietrzem, przesiąkniętym wonią kwiatów, pąków drzew i tym zapachem ziemi orzeźwiającym, jaki wydaje ta matka nasza, gdy łono jej pruje lemieszem dłoń pracowita rolnika wiosną czy jesienią, gdy zaczyna się zielenić młodym plonem nie dawno rzuconego ziarna.

Z wiosną też każdego roku powiększała się ludność Międzyborza przybyłymi z dalekich nawet okolic gośćmi. Ściągał ich gromady jeden człowiek, sławny doktor Stakenszmitt, Niemiec rodem, który osiadł stale w tem mieście i ogromną miał praktykę. Wyuczywszy

się języka polskiego, jakkolwiek zarywał z niemiecka mógł się płynnie już i zrozumiale rozmówić, co więcéj wabiło do niego szlachtę. Od wielu lat tu osiadły, wybudował sobie dom, na pochyłym wybrzeżu rzeki, gdzie pozostało jeszcze kilkadziesiąt starodrzewow. Stanowiły one gaj gęsty; w pośród nich bielił się murowany skromny domek doktora z facyatą i gankiem. Z obu skrzydeł tego dworu były kwiatowe ogródki, w których hodował troskliwie wiele ziół lekarskich, jakich sam używał i przyrządzał je u siebie, bo zwyczajem przyjętym, miał podręczną apteczkę w domu, z której udzielał lekarstw i wezwany w okolicę, zabierał z sobą potrzebne preparaty. — Był to człowiek już sędziwy, liczył bowiem do 60 lat z górą. Siwizna lekko popruszyła mu głowę, a wbrew ówczesnemu zwyczajowi nie nosił peruki, ani harbejtla, ani krótkich spodni i trzewików, ale strzygł włosy krótko, buty zawdziewał z długimi cholewami, ubierał się w surdut dostatni, a czasem we frak piaskowego koloru, z dużemi metalowemi guzikami. Do niego wtedy używał długiej atłasowej bronzowej kamizelki, suto haftowanej. Wzrostu średniego, wdzięcznego i czerstwego oblicza, zachował w całej postaci ruchy pełne życia i rzeźwość młodzieńczą. — Domek jego, jakkolwiek szczupły na pozór, wewnątrz był rozległy. Składał się z ośmiu obszernych pokoi. Nadto przy wjeździe stały dwie oficyny, niemniej obszerne, które zajmowali ciągle

chorzy przyjezdni. Terar doktor Stakenszmitt zajęty był ukończeniem nowego domu dla chorych swoich, który wystawił od ulicy; o piętrze z gankiem. Jakoż w ciągu dni kilku był gotowy zupełnie na przyjęcie spodziewanych gości.

Niedługo téż zajechała poszóstna staroświecka karetą, za nią we trzy konie brocka kryta bryka a za niemi dwie fury ładowne sianem, słomą i owsem, oraz furgon pakowny z kucharzem i ze służbą. — Naprzeciwno nowego domu doktora Stakenszmitta, po drugiej stronie ulicy z obszernym ogrodem stał dwór drewniany z wystającym staropolskim gankiem, na którym siedziało kilku młodych oficerów, paląc fajki i zajętych rozmową.

Dwór ten był kwaterą generała Kościuszki i jego sztabu. — Siedział właśnie w swój sypialnej komnacie nad rozłożoną mapą Polski, zatopiony w głębokiej zadumie, której nie przerwał mu nawet głośny śmiech oficerów na ganku. Zajęci pogawędką, niespodzianie usłyszawszy zawieszisty trzask bicia, spojrzeli na ulicę i ujrzeni poszóstną karetę: na wysokim koźle starego furmana, a na przedniej parze koni pachołka zwinnego, jak zawracał na podwórze nowego domu doktora.

— A cóż to za arka Noego! zawołał rotmistrz Zarembo, wskazując na karetę, toczącą się zwolna. Pamięta przynajmniej czasy króla Sobka!

— Patrz! patrz Józefie! krzyknął porucznik fizylerów, a toć to cały tabor ciągnie się za nią!

Karól Kniaziewicz, który, wyszedłszy z korpusu kadetów jako bombadyer, świeżo awansowany na oficera do pułku fizylerów, był w sztabie jenerała Kościuszki, zaczął się śmiać wraz z innymi coraz więcej, gdy młody kadet Józef Raciborski, stanąwszy na ławie ganku, począł wyliczać osoby i sprzęty wychodzące z ogromnego pojazdu.

— Koledzy! uwaga! zawołał, piszcie i rachujcie! Oto najprzód wyskoczyła z arki Noego panna służąca, zgrabna sarenka: teraz wychodzi poważniejsza dama, może marcowa panna, bo ma podwiązaną twarz szafanową chusteczką, a wszystkie stare panny, mają słabość do tego koloru. Ale się mylę, to nie marczak, jeszcze pełna życia i powabu. Teraz... cóż ja widzę? i umilkł.

Kniaziewicz zniecierpliwiony wyskoczył na ławkę i wykrzyknąwszy: Aa! Aa! także umilkł.

Nadbiegły w tę chwilę adjutant Kwaśniewski, stanąwszy przy nim, rozkrzyżował ręce i zawołał; Aa! Aa! Jak Boga kocham! Aa! Aa! Rotmistrz Zaremba pokręcając sumiastego wąsa i patrząc na nich, jak się z zachwyceniem wpatrują w jakiś przedmiot, splunąwszy, gniewnie rzekł:

— A cóż tam do milion sześćkroć stotysięcy ba-

talionów i szwadronów djabłów widzicie, a nie nie gadacie. Stoją jak czaple z wyciągniętą szyją, otworzyli gęby jak gawrony, a milczą jak zakłęci.

— Żebym sto tysięcy djabłów połknął i szklanke wody się napił, jeżeli w życiu piękniejszą widziałem! woła Raciborski.

— To Wenus prawdziwa! wołił Kniaziewicz wdychając.

— To Pokusa! mówił Kwaśniewski, a kładąc rękę na ramiona Kniaziewicza! pluń na mare! bo to czarownica!

Niecierpliwy rotmistrz Zaremba, ściągnął z ławki Raciborskiego, a ujrawszy uroczą postać młodej dziewczyny, co stała przy drzwiczkach karety, zawołał:

— Aa! Aa! do regimentu djabłów, prawda, że śliczna pokusa!

Raciborski, wskoczywszy na drugą ławkę, mówi:

— Koledzy! bacność! uwaga! Śliczna Wenus stoi — teraz mama Dobrodziejka wydobywa się z téj arki: — teraz dziewczynka z pudłem. Teraz wszyscy poszli do domu, a zajeżdża bryka brocka. Patrzcie! Jaki zawieszisty szlachcie wysiada, pewnie papuś Dobrodziej, bo go stary hajduk wysadza. No! skończyło się widowisko! na siano, obrok i słomę i kucharza w szlafmocy niema co patrzeć.

— Teraz, koledzy, rzekł rotmistrz Zaremba, musimy

się dowiedzi.ć co to za zacna ta familia; nam nie wypada, ale mam zręcznego trębacza, to on dokładny zda nam raport. Héj! Janusz! krzyknął na idącego ze stajni żołnierza: Tam tu coprędzój.

Trębacz Janusz Gil, stanął wyprostowany, a salutując rotmistrza, pytał o rozkazy. Zaremba dał mu dokładne objaśnienia, czego żąda, a Gil wyruszył zaraz na zwiady. — Tymczasem jenerał Kościuszko wyszedłszy ze swego zadumania, ożywiony wesołym świechem swoich oficerów, zbliżył się do okna, ale nic więcej nie ujrzał, jak tylko zajeżdżające fury i furgon na podwórze doktora. Oficerowie zasiedli znowu w ganku, oczekując na trębacza. Niedługo wraca i donosi, że przyjechał pan prezes Żurowski z żoną, córką i siostrą swoją, panną: że dziś jeszcze przybędzie krewniazka panny prezesówniej młoda i śliczna panna.

— A jak na imie pannie prezesównie? pyta Kniaziewicz.

— O tom się nie pytał, odrzekł trębacz, bo kuchnię zawołali, żeby co prędzój obiad gotował.

— Koledzy! rajskie wrota się otwały i wyjrzał Kupido!

Jakoż roztwarły się drzwi na ganku pierwszego piętra i stanęło na nim siedemnastoletnie dziewczę, podziw naszych oficerów. Ale zaledwie jedném spojrzeniem dojrzała ich stojących i wpatrujących się w nią

tak ciekawie, upiekłszy raka, coprędzój cofnęła się do pokoju.

II.

W parę tygodni później, w mieszkaniu zajętém przez rodzinę prezesa Żurowskiego, w bocznym pokoju, którego okno wychodziło wprost na kwaterę jenerała Kościuszki, siedziały dwie młode dziewice. Pierwsza zbliżona więcej do okna, często spoglądała na ganek dworu. Średniego wzrostu bruneta zwracała uwagę szczególniej białą pcią alabastrową: na obliczu wybijały się świeże ramieńce. Nos kształtny, usta drobne, korallowe, a pod jaskółczemi brwiami oczy czarne, pełne życia i tego blasku, który czar i urok rzuca przy każdém spojrzeniu. W chwilach, gdy jój serce uderzało mocniej, spojrzenie dziewczyny nabierało nieopisanój wyrazistości: znający ją bliżej do razu wyczytywali jój myśl, jój uczucie. Gdy smutek ją opanował, żalność ucisnęła, mgła dziwna na te oczy padała: łzawiły się jak kwiat poranną rosą, a całe oblicze, nie tracąc swój czarownój krasy, malowało ból serca. W ruchach jakkolwiek spokojnych i poważnych wdzięk całej postaci pięknie odbijał. Warkocz kruczego blasku, gęsty i długi, zdobił jój głowę: drobne nóżki lekko stąpały, mała rączka jakby utoczona. Głos dźwięczny miał w sobie szcze-

gólny powab; zdaleka nasłuchując, zdawało się, jakby śpiew jaki oddalony dolatał, bo w mowie przeciągała wyrazy zwyczajem Podolanek i Pokucianek. — Siedziała z robótką w ręku, ale była więcej roztargnioną, a wzrok niespokojny rzucała często na ulicę.

Naprzeciw niej siedziała jej krewniaczka, starsza o parę lat Tekla Orlewska i zupełną z nią stanowiła różnicę. Wyższa wzrostem, jasna blondynka, oczu niebieskich, białego a rumianego lica, uderzała na pierwsze spojrzenie wdziękiem swój urody. Wesoła, uśmiechnięta, jakby chciała mówić o szczęściu życia, jakie w całej pełni poczuwała. Zdawała się starszą nad wiek swój, lubo zaczynała dopiero rok dziewiętnasty życia. Patrząc na swą przyjaciółkę, zasępiła się chwilowo i rzekła do niej:

— Tociu! co ci jest? widzę niepokój w twych oczach, które mówią mi wyraźnie, że twoje serce chore; jakieś nowe myśli zamąciły twoją główkę.

Tekla Żurowska na te słowa podniosła oczy, a spojrzawszy na towarzyszkę, z cicha łkając, rzuciła się w jej objęcia.

— Wypowiadaj mi się, Tociu, a to ulży twemu sercu. Siadaj kochanie, otrzyj z łez swoje oczęta, i mów, ale mów cicho, bo ciocia Brygida, jak każda starsza panna nadzwyczaj ciekawa i lubi podsłuchiwać. — Kiedy jednakże Tociu, opuściwszy smutnie głowę, słowa

wyrzec nie mogła, przyjaciółka zaczęła z cicha mówić coraz weselszym tonem, patrząc, jak się jój oblicze wyjaśnia, i radość zaczyna wybijać.

— Panna prezesówna z wolném serduszkim przyjechała do Międzyborza, ale już zamyślała się często w domu i drodze; prawda, wiek to już po temu dojrzały, bo zaczynamy siedemnasty rok życia. Ja ci, moja Tociu, mogę śmiało matkować, bom o całe prawie dwa lata starsza. We dworze Ihnatowskim i ojciec i matka, sąsiedzi i przyjaciele, wszyscy unosili się nad jenerałem Kościuszką, opowiadali jego czyny bohaterskie w Ameryce, gorącą przyjaźń z Waszyngtonem: i trzeba takiego zdarzenia, że panna prezesówna zamieszkała naprzeciw kwatery jenerała, że już go kilka razy z bliska widziała, że nawet w ogródku doktora rozmawiała, a grzeczny jenerał serdecznie rączki ucałował Toci. Odtąd panna prezesówna zamyśla się często, wzdycha jak ptaszek w klatce, siadywa w okienku niby z robotą, ale rączki jój spoczywają nieczynne, a spojrzenie idzie tam jak ciotka Brygida powiada: „gdzie serce, tam oczy,” bo panna prezesówna panu jenerałowi bardzo sprzyja.

Na te słowa Tocią głęboko, ale swobodnie odetchnęła, jakby kamień spadł jój z piersi. Krasna niezwykłym rumieńcem, małą rączką zakryła usta przyjaciółce z radosnym uśmiechem. Orlewska śmiejąc się

także wesoło, spojrzawszy w okno, szepnęła jój do ucha:

— Spójrzyj na ganek — już siedzi pan Tadeusz.

Jenerał rzeczywiście zajął teraz ulubione sobie miejsce na ławeczce, z której mógł widzieć dogodnie okno panny Żurowskiej. Tucia rzuciła ukradkiem spojrzenie, ale spuściła zaraz głowę, jakby nic nie widziała, gdy w téj chwili drzwi się roztwarły i weszła wystrojona panua Brygida Żurowska, siostra prezesa, nie podwiązana szafranową husteczką. Włosy gładko uczesane zdobiła wiązanka niezapominajek z różą.

Orlewska dała znak tajemny przyjaciółce, a sama nieznacznie zapuściła firankę okna. Tucia poskoczyła wesoło, a całując ciotkę w rękę:

— Jakże się spało cioteczce? spytała.

— Dobrze! wybornie! odrzekła panna Tekla.

— A zkąd to wiesz moja Tekluniu? mówi zdziwiona panna Brygida.

— Widzę to po twojém żywém spojrzeniu, cioteczko, po świeżym rumieńcu na twarzy, po tych ruchach postaci, pełnych życia i wdzięku.

Panna Brygida, ucieszona tém pochlebstwem rozumnej a przebiegłej panny Tekli, ucałowała obiedwie z nadzwyczajną czułością i zaczęła sen swój opowiadać, z którego na przemiany wróżyła pomyslną i niepomyślną dolę dla siebie.

— Ale cóż tak, moje panny, z zasłanioném siedzicie oknem, takie świeże powietrze, aż miło oddychać. Pozwólcie, niech okno otworzę.

Świeży powiew, pełen balsamicznej woni, napełnił zaraz pokój cały; panna Brygida, stała chwilę w otwartém oknie, a potem rzekła:

— Panny! patrzcie z daleka, nasz generał widać jedzie na mustrę, bo dosiada ślicznego konia. O! O! zbiera się widać cały sztab jego, bo już panowie rotmistrze Potocki i Zaremba pędzą: pan porucznik Kniaziewicz siedzi na koniu, pan Kwaśniewski biegnie do stajni, a ten wartogłów Raciborski, harcując przed dworem, kłania mi się i białą chustką powiewa na pozdrowienie. Moje panny, usuńcie się dalej, jeszcze trochę dalej. Nie wypada stać nam w oknie.

— Ciocia niech przecie dygnie ładnie pięknemu kadetowi.

— Że chłopiec piękny, to prawda, bo to jak krew z mlekiem a żywy jak iskra: ale młokos, młokos, powiem dzieciuch.

Tymczasem nadjechali galopem Potocki z Zarembą i pokłonili się stojącej w oknie pannie Brygidzie, która dygnęła nisko. Zaledwie stanęli na podwórzu kwatery generała, po krótkiej rozmowie Kościuszko zsiadł z konia i wszedł do dworu, a sztab cały wolnym stępem wyruszył za miasto. Wszyscy kłaniali się grzecznie urado-

wanej ciotce, która każdemu oddzielny poświęciła ukłon Panna Tekla, przez głowę jój wszystko widziała, i śmiała się serdecznie z Tocią; po chwili ciocia odeszła, pod pozorem zajęcia gospodarskiego, a obiedwie przyjaciółki, usiadły przy otwartém oknie swobodne i radosne. Przed gankiem kwatery jenerała, luzak przeprowadzał osiodłanego karego arabczyka. Dzielny rumak grzebał ziemię kopytem, podnosił małą a zgrabną głowę, parskał ochoczo i co chwila zrywał się do podskoków. Niedługo wyszedł na ganek Kościuszko, dosiadł karego, który teraz stał spokojnie, ale zaledwie poczuł jeźdźca na sobie, zaczął jak w tańcu wyprawiać korbety. — Jenerał, już wsiadając, dostrzegł obie dziewice: zwolna podjechawszy pod okno, spojrzał na piętro i spotkały się jego oczy z oczyma wymownemi prezesównój. Zdjął rogatywkę, przycisnął do serca i skłonił głowę z poszanowaniem. W całym tém poruszeniu malowało się poważnie głębokie uczucie.

— Patrz, Tociu! jak nam się ślicznie pokłonił: tak pozdrawiali panie swych myśli i serca dawni na turniejach rycerze!

Tocia może nie słyszała tych słów przyjaciółki, wypowiedzianych z zapalem, bo oczy, myśl i serce posłała za jeźdźcem, który kilka jeszcze razy zwrócił głowę ku stronie otwartego okna i kłaniał amarantową konfederatką!

III.

Prezes Maciej Żurowski liczył właśnie pięćdziesiąt lat z górą. Urodzony za Sasów, wychowany w szkołach Jezuitów, całą charakterystykę dawnego szlachcica polskiego w sobie zespolił. Klejnot szlachecki ze złotą wolnością i liberum veto cenił najwyżej. Kiedy jednakże na zniesienie liberum veto daremnie się zżywał, nigdy nie mógł zapomnieć tego tak drogiego przywileju każdego *bene natus et possessio-natus*, że szlachcic na zagrodzie, równy wojewodzie.

Szorstkość jezuickiego chowu okrzesał i wygładził na dworze króla Stanisława Augusta. Przy koronacji jego jako oficer przybocznej straży jechał w orszaku nowego króla. Wśród zrudzoziemczalego dworu, na którym wyszydzano w każdej chwili i przy każdej sposobności, jak ubiór, tak zwyczaj a obyczaj narodowy, zowiąc go grubym sarmatyzmem, w tej to chwili, zapomniawszy o złotej wolności i o liberum veto, godząc się z nowym porządkiem rzeczy i wyobrażeń. Opuściwszy dwór królewski, był deputatem na trybunał lubelski, następnie marszałkował na sejmiku, pełnił później obowiązki komisarza cywilno-wojskowego, w ostatku sprawował urząd prezesa na Podolu. Nieposzlakowanej

prawości, z cnót obywatelskich szanowany, znany był z pobożności i miłosiernych uczynków. Prędzej żonie, córce, krewnemu odmówił spełnienia prośby, niż obcemu, bo trzymał się téj zasady, iż swoim udzielając, dla siebie tylko niejako robił: odejmując zaś sobie, lub swoim, wypełnia dopiero obowiązek względem Boga i bliźniego. Obdarzony bystrą pamięcią, zasięgając wspomnieniem lat dawnych, na co sam patrzył, lub żywém, słowem tradycyi pochwycił umiał opowiadać zajmujące wypadki, których żaden historyk, żaden dyaryusz ani *Silva Rerum* nieprzechowało, z czasów Jana Sobieskiego, którego podług zwyczaju w Rzeczypospolitéj zwa-
no królem Sobkiem, z napadu Szwedów pod Karolem XII, ze zdarzeń za królów Augusta II i III i z pierwszych lat panowania Stanisława Augusta. Ożeniony z Wisłocką, szczególniej miłował i szanował swoją panienkę, jak zawsze nazywał małżonkę, która, będąc wątłego zdrowia, potrzebowała czulej opieki i pełnego delikatności obejścia. Prezes przy wszystkich przymiotach był gwałtownego charakteru i skory do wybuchu, ale jedno słowo jego panienki, jedno spojrzenie było dostateczném do pohamowania się w uniesieniu. Jeżeli się zdarzyło, że zapłakała ze wzruszenia, lub z powodu zbytniego uniesienia małżonka, zadraśnięta ostrém jego słowem, pan Maciej na kolanach przeproszał swoją panienkę, dopóki na jój wdzięczne oblicze nie wywołał uśmiechu!

— Oj! mój Macieju! Macieju! za często grzeszysz, a potem przepraszasz! To były jedyne słowa wymówki przywiązanej żony.

Tegoż dnia siedzieli oboje w sali, w poobiedniej porze, przy otwartych drzwiach na ganek, gdy weszła panna Brygida, strojniej jeszcze przybrana, jak rano, z bukieciem róż u boku i zapowiedziała odwiedziny sztabu generała Kościuszki.

— Rad będę poznać panów oficerów; wszystko znać dzielni ludzie a i jeźdźcy dobrzy. Widziałem ich wczoraj na mustrze a to każdy mój Moci siedzi jak przykuty: nawet ten kadecik Raciborski, do którego panna siostra słodkie, jak mi mówiono, robi oczka, wszak to mój Moci jeździec nad jeźdźcami!

— Któż to, panu bratu, taką ploteczkę ulepił, zapytała z małym uniesieniem panna Brygida: wszakże to dziecko!

— Zapewnie mój Moci, moja panno siostro, ale *de gustibus non est disputandum*: tandem jeździec co się zowie, a jaki zwinny i zręczny! Wczoraj *per exemplum* w najcięższym galopie, rzuciwszy konfederatkę na ziemię, zatoczył swoim dzielnym siwkiem i podniósł ją z ziemi. Ażem z radości ucałował pacholę: boć i człowiek w jego wieku umiał takie sztuczki. Raz, gdy w przytomności króla Jegomości w łazienkach chustkę, rzuconą przez panią Grabowską na

drogę, w pełnym galopie podniósł, to król Jegomość aż zbladł z przerażenia, bo myślał, jako mi sam mówił, że kark muszę skrócić.

— Moja Brygisiu, rzekła prezesowa, bądź tak dobrą i każ przygotować kawy a poślej do cukiernika.

— Wszystko będzie dobrze! już urządziłam i kawa i ciasta gotowe.

— Dajże mi buziaczka, kochana Brygisiu.

— A gdzież nasze dwie Teklusie? zapytał prezes.

— Siedzą w swoim pokoiku, zajęte dywanem dla tutejszj Fary: ale zaraz je uwiadomię o spodziewanych odwiedzinach. To wyrzekłszy, panna Brygida pobiegła wesoło do ubocznego pokoju, przywołując panny do sali. Sama usiadła przy oknie, ciągle spoglądając niespokojnie na kwaterę jenerała. Nagle zerwała się i zawołała.

— Goście spodziewani już idą!

Jakoż niedługo szczeł pałaszy dał się słyszeć w przedpokoju: drzwi stary kredencierz Walenty roztworzył naścieżaj i wszedł na czele rotmistrz Potocki, za nim Zaremba z Kniaziewiczem, a w końcu Kwaśniewski z Raciborskim. Prezes powstawszy, ze staropolską gościnnością witał uprzejmie przybyłych. Do każdego przemówił z serdeczném uczuciem. Potocki i towarzysze, ucałowawszy rączki prezesowój, panny Brygidy a w ostatku obu panien, zasiedli w okół stolika. Prezesówna niespokojném okiem spoglądała to na ulicę, to

na dwór naprzeciw stojący, to na drzwi sali, jakby oczekiwała kogo. Orlewska wyczytała, co się dzieje w jéj sercu, szepnęła więc z cicha:

— Bądź cierpliwa, niedługo przyjdzie.

Potocki po zagajeniu rozmowy, zbliżył się do prezesa i rzekł z ukłonem:

— Państwo dobrodziejstwo zapewne dozwolą, że nasz generał złoży im swe uszanowanie.

— A mój Moci Dobrodzieju, zawołał Żurowski, będziemy to mieli sobie za największy zaszczyt; dla pana generała zawsze u nas jak serca tak i drzwi otwarte.

Tocia odwróciła głowę, przycisnęła ręką bijące gwałtownie serce, kraśny rumieniec oblał jéj oblicze. Na szczęście nikt prócz przyjaciółki nie zważał na to wzruszenie głębokie. Potocki szepnął parę słów na ucho Raciborskiemu, który nieznacznie wybiegł, aby dać znać Kościuszce, że go oczekują.

Panna Brygida, zajęta całą rozmową z rotmistrzem Zarembą, nic więcej nie widziała i nie słyszała, ale Tocia z przyjaciółką dostrzegły, jak biegł żwawo Raciborski i jak wkrótce wraz z nim wyszedł Kościuszek ze swéj kwatery.

— Nie ruszajmy się z miejsca — rzekła z cicha Orlewska, widząc zarumienienie swéj towarzyszki — bo zwrócisz uwagę na siebie.

I rozpoczęła sama rozmowę z Kniaziewiczem. To-

cia zadrzała dosłyszawszy szcęk pałaszy w przedpokoju, ale na surowe spojrzenie przyjaciółki spuściła oczęta, obrywając listki z róży, do boku przypiętęj.

— To nasz jenerał zapewne! rzekł Potocki.

Na te słowa wszyscy powstali. Prezes postąpił do drzwi samych, a ujmując Kościuszkę za rękę, rzekł wzruszonym mocno głosem:

— Panie jenerale! odwiedziny jego w domu mym uważam zawsze za największy dla siebie zaszczyt i pociechę, że mogę uściskać dłoń bohatera, co walczyła tak dzielnie za niepodległość Amerykanów, którego najwięksi mężowie kochali i szanowali, a ja, mój Moci Dobrodzieju, tylko z sercem otwartém i łzami radości powitać mogę.

Wyrzekłszy te słowa, pochylił głowę i otarł oczy.

Kościuszeko, pomieszany, zaledwie mógł przemówić:

— Panie prezesie! nie zasłużyłem sobie na takie przyjęcie, ale umiem je ocenić i z serca dziękuję.

Powitawszy panią domu i panny, zatrzymał przeciągłe spojrzenie na Toci, która drżącą, jak listek osiczyzny, schwyciła za rękę przyjaciółkę swoją i oczy w ziemię spuściła.

Gościnność przesa ożywiła całe zebrane grono. Po obniesionój kawie gospodarz postawić kazał dwa gąsiorki opleśniałe węgrzyna. Po jednym i drugim kieliszku rozechocili się wszyscy.

Pan Żurowski zaczął przypominać dawne czasy, ów sławny w łazienkach królewskich karuzel przy odkryciu konnego posągu Jana Sobieskiego na moście, w którym miał udział i dobrze trzymał się na siodle. Ztąd przeszedł do pochwały Raciborskiego że z niego dzielny jeździec, co uważa za najpierwszą zaletę młodego szlachcica.

Kniaziewicz mało się mieszał do siedzących przy stole, zajęty rozmową z panną Orlewską, jój wdziękiem i urodą. Tacia, siedząc przy boku swój przyjaciółki, rzucała tylko ukradkowe spojrzenia na generała, który, niby zajęty opowiadaniem prezesa, zwrócone miał oczy na swą ukochaną. Gdy pierwszy raz spotkały się ich spojrzenia — na oblicze dziewczicy wystąpił żywy rumieniec.

Prezes zatrzymał u siebie wszystkich na wieczerzy: w parę godzin ożywił jeszcze towarzystwo doktor Stakensmitt, ochoczy do rozmowy i kielicha.

Już było blisko północy, a przez otwarte okna mieszkania prezesa brzmiał okrzyk radosny, tak znany przy wznoszeniu ostatniego wiwatu, staropolskie: Kochajmy się!

Jasny miesiąc wypłynął na czyste niebo — żadna je chmurka nie zaciemniała. Szczęk pałasy krótko słyszeć było przed kwaterą generała: wkrótce światła pogasły. Milczenie zaległo całe miasto, czasem szczekanie psów z dalszych folwarków dolatywało, a przy otwartém oknie, siedziały obie przyjaciółki, trzymając się za ręce.

— Tekluniu moja złota! teraz zdaje mi się, że mnie kocha! mówiła wzruszona Tocią.

— Oby Bóg dał ci szczęście i mnie przy tobie, odrzekła Orlewska, bo miała na myśli i sercu gorące spojrzenia Kniaziewicza.

IV.

Od téj chwili stał się Kościuszko codziennym gościem w domu prezesostwa. Oboje coraz uprzejmiej przyjmowali jenerała. Matka, uwiadomiona przez przyjaciółkę Toci o jéj uczuciach i przywiązaniu, nie miała przeciw związkowi zamierzonemu: nawet panna Brygida, przypuszczona do tajemnicy, pochwałała tę myśl prezesowój.

Bo szczególniej zmieniła się teraz: ze szczerbów i lubiącej ploteczki stała się do razu poważną, uprzejmą, i często zadumaną. Liczyła właśnie trzydziesty rok życia, i ślady dawnéj zachowała piękności. Płeć białą zatrzymała, oblicze krasniało żywym rumieńcem, oczy czarne, nabrały nowego blasku — słowem panna Brygida, skoro porzuciła narowy, przywiązane do staréj panny, w oczach wszystkich zmieniła się do niepoznania.

Tocia z przyjaciółką swoją, już się jéj nie wystrzeżały, ale wszystkie swoje powierzyły tajemnice. Zwierzenie to przyjęła z uczuciem wdzięczności, sama jednakże

poważnie milczała, jakkolwiek Orlewska już dostrzegła jój miłość do rotmistrza Zaremby; żadném przecież słówkiem nie dała jój tego poznać.

Dziewczęta częściej widywały Brygidę, modlącą się gorąco przed obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej, przed którym gorzała ciągle lampka. Raz zeszła ją niespodzianie panna Tekla. Klęczała przed obrazem, ale skończyła już modlitwę, i tylko z załamaniem rękoma, w milczeniu poglądała żrzącym wzrokiem w oblicze Boga Rodzicy.

Orlewska stała chwilę, wpatrując się w jój postać, ale dłużej nie mogąc wytrzymać, poskoczyła ku niej i zawołała dźwięcznym głosem:

Ciociu! jakaś ty ładna!

Panna Brygida odwróciła tylko głowę i załkała cicho.

Ciociu! Brygisiu! ja znam uczucie twego serca, i z duszy się cieszę. Na te słowa panna Brygida powstała i położyła palec na usta, a potem rzuciła się w objęcia Orlewskiej. — Teklusi! mówiła zażawiona — Bóg tylko dotąd o tém wiedział, co ty wiesz teraz.

Cioteczko kochana, odrzekła pieszczotliwym głosem, ulżyj sercu swemu, powierz mi swoje cierpienia, ja je z Tocią podzielę, a Iżej ci będzie. O! teraz i ja będę kochała poczciwego rotmistrza. Ale nie tak, przemówiła panna Brygida, jak pana Karola.

Na te słowa Orlewska zdumiała, rumieniec żywy oblał jęj piękne oblicze, zakryła oczy rączkami i z pośpiechem uciekła.

Drżąca, wzruszona wbiegła do swego pokoju, który razem z Tocią zajmowały, a chwyciwszy ją za rękę: moja duszo — rzekła, oddychając jakby zmęczoną piersią — ciotka odkryła i moję tajemnicę.

To dobrze, z radosnym uśmiechem odpowiedziała Tocia. Teraz żadnej przed sobą nie będziemy miały skrytej myśli.

Dzień był przecudny: doktor Stakenszmitt, zaprosił dom cały prezesostwa, jako téż i jenerała z towarzyszami broni do siebie na kawę i śmietanę wiejską. Zastrzegł, żeby wcześniej się zebrali na podwieczorek, a obawy nie mieli, jeżeli będzie skwar słońca, bo jego ogród ze zwierzyńcem da chłód i ochronę przed gorącem.

Prezesowa z Brygidą, Tocia i Orlewska wyszły około czwartej godziny po obiedzie: prezes podług zwyczaju drzémał i później przyrzekł nadejść.

W ogrodzie doktora już znaleziono Kościuszkę z grobem znajomych oficerów.

Po przywitaniu, zawiązała się wesola rozmowa. Doktor, jako gospodarz domu, podał rękę prezesowej i powiódł do cienistej altany przed domem swoim, a zwracając się do reszty towarzystwa, rzekł z uśmiechem:

— My poważniejsi będziemy sobie gawędzili o lepszych dla nas czasach, a wy młodzi używajcie spaceru.

Kościuszkowski uśmiechnął się i rzekł patrząc w oczy Toci:

— To już nie do mnie słowa doktora: „młodzi niech zostaną.“ Czy mam odejść?

— O nie! nie! zawołała żywo Toci, generał przecie grzeczny i nie zostawi mnie samęj.

Kościuszkowski z rzewnem uczuciem pochwycił jej drobne rączki i ucałował. Raciborski szepnął Rotmistrzowi Potockiemu:

— Zostawmy młodzież, a my poważniejsi chodźmy do prezesowój.

Potocki spojrział na kadeta i parsknął śmiechem, gdy ten poważnie wyrzekł:

— Rotmistrzu, patrz! trzy pary turkawek! Jacy szczęśliwi, to już nie dla nas.

Śmiejąc się wesoło razem, pospieszyli do altany, bawić rozmową matkę i doktora. — Kwaśniewski odjechał był od dni kilku do swojej chorągwi.

Zwierzyniec Stakenszmitta był obszernym ogrodem, a główną jego ozdobą, były olbrzymie dęby, lipy, płaczące brzozy i gdzie niegdzie wysmukłe sosny. Zabytki to dawnego boru, które szczędził pełen smaku i gustu doktor. W pośród tych drzew zasiał trawniki, wysypał żółtym piaskiem ścieżki i urządził ławki wygodne w miejscach, najwięcej zacienionych.

— Mój ogród zimą i latem — mawiał — zawsze zielony i nigdy nie traci swych liści.

A mówił prawdę, bo sosny pod śniegiem jeszcze zieleniły.

Rotmistrz Zaremba przechadzał się z panną Brygidą, podawszy jej rękę. Za nim szedł w oddali Kniaziewicz z Orlewską, których radosny śmiech jedynie przerywał głęboką ciszę zwierzyńca i łączył się z miłym odgłosem kukulki, mającój tu ulubione schronienie.

Kościuszek, siedząc na ławeczce obok swój bogdanki, na kukanie tego ptaka przemówił:

— Słyszysz pani? to ptak wiosny, ale także smutku i żałoby. Słyszałem w moich dziecinnych latach i pieśni i powieści od mojej niańki, że kukulka wróży żałobę.

— Jakież to myśli, panie Tadeuszu, w téj chwili, gdy tak jestem szczęśliwą i pełną radości! O! Bóg dobry od tego nas uchroni, ja wierzę w świętą jego opiekę i gorąco się modłę.

— Módl się, módl pani i za mnie, bo nie wiemy, co nas w przyszłości spotkać jeszcze może.

— Nie mów tak drogi panie, bo mi serce się ściska i lzy biegają do oczu.

Kościuszek ucałował jej rękę, a Tucia patrzyła w jego oblicze zażawionemi oczyma.

Zaremba skończył już czwarty krzyżyk, ale nie



wyglądał na swe lata, zachartowany życiem obozowém. W młodych leciech służył w przesławnej konfederacyi Barskiej pod Kazimierzem Pułaskim, który go nie tylko lubił, ale kochał nawet. Był z nim w Częstochowie, broniąc téj twierdzy, i wyprowadzał go za mury, gdy raz ostatni ten bohater żegnał ojczystą ziemię i spieszył do Ameryki, aby tam znaleźć śmierć walecznego. —

Sierota od lat młodych, zajęty służbą unikał niewieściego rańtuszka; raz tylko zadrżało jego serce, gdy ujrzał piękną i dorodną żonę swego pułkownika. Ale wychowany w zasadach honoru i z natury pobożny przytłumił wzrastającą miłość, uważając za grzech myśleć o zamężnej niewieście. — W gwarze życia obozowego uspokoił się, przytłumił uczucie i od dwóch lat spokojnie i swobodnie oddychał, gdy w pannie Brygidzie znalazł wielkie podobieństwo do niezapomnianego oblicza i postaci pułkownikowej. W równych była prawie z nią latami, téż oczy czarne, dźwięk nawet głosu podobny.

Z początku za nadto mu się zdawała żywą, ale, gdy spoważniała w chwilach swój zadumy, rotmistrz oczarowany spoglądał i widział żywy wizerunek swój wymarzonej, za którą tyle lat tęsknił i bolał. —

Nieśmiały, jak wszyscy dobrzy wojacy, do kobiet wyższego ukształcenia, bojaźliwie wyjąkał swe myśli i uczucia. — Jakby niebo otwarte ujrzał, gdy się do-

wiedział, że pozyskał jój wzajemność i odebrał przyrzeczenie, że będzie mu wierną i stałą do grobu.

Kniaziewicz wiódł wesołą i głośną rozmowę z panną Teklą: śmiali się radośnie, ale w przerwach rozmawiali wymownie oczyma, bo dobrze powiedział stary Łukasz Górnicki w swoim Dworzaniu, że: „oczy, są to wierni posłańce od serca.“

Jedno drugiemu nie powiedziało słowa o miłości, a byli pewni wzajemnego uczucia.

Po podwieczorku zmrok zapadł, a prezes nie nadzedł: przysłał jednakże wkrótce starego kredencera Walentego, przepraszając, że z powodu przybycia niespodziewanego gościa z Warszawy sam przybyć nie może, ale prosi, żeby się wszyscy wesoło bawili.

Na tę wiadomość posmutniało poważne oblicze matki, ale reszta towarzystwa wraz z gospodarzem nie stracili humoru. Potocki podał do przechadzki w zwierzyńcu rękę prezesowej, której doktor i Raciborski towarzyszyli nieodstępnie. Za nimi szły trzy pary nasze.

Księżyc wypłynął na jasny lazur niebios; przy nim jedna tylko gwiazdka błyszczała. Ze zmrokiem wieczornym zawiodły swój śpiew słowiki.

Pod wielkim dębem zasiadło całe zebrane grono. —

— To moje ulubione miejsce! mówił doktor, — tu, co wieczór, gdy jestem sam, a o téj porze zwykłem samotny, siaduję i rozmyślam o swój przeszłości. Mój

Boże! czyż mógłem myśleć, że, gdy przyjdę do dostatniego mienia, Bóg mnie tak srodze osieroci! Tu mi zmarła żona, którą kochałem serdecznie, jedyny przyjaciel na téj ziemi: tu na rękach moich skonała siedemnastoletnia moja droga Ludwika!

Na to imię wstrząsnął się Kościuszko.

— Co ci to, panie? Szepnęła z cicha Tucia.

— To nic! to nic! odrzekł, ale smutno głowę opuścił na piersi!

— Tu pod tym dębem — mówił dalej doktor wzruszonym głosem — siadywaliśmy razem i jak teraz słuchaliśmy śpiewu ptasząt. Kiedym je pogrzebał i ukoił się nieco w cierpieniu, przyszedłem znowu pod ten dąb i usiadłem. Ale, gdym usłyszał moje słowiki, co śpiewały mi za życia, samotnik teraz, płakałem jak dziecko i nie dziwcie się łzom moim!

Poważny starzec zakał rzewliwie; prezesowa ze smutkiem w oczach ściskając go za rękę, rzekła drżącym głosem:

— My umiemy czuć i dzielić twą boleść, szanowny konsyliarzu!

Kościuszko powstał, ujął jego rękę i przemówił wzruszony:

— Mój doktorze! na twą boleść Bóg tylko i czas mają lekarstwo. My pojmujemy takie straty.

— Dziś, mówił spokojniój Stakenszmitt, jest ro-

cznica śmierci méj żony i mojej jedynaczki: chciałem się waszą obecnością rozweselić, a zamiast tego zasnułem was wszystkich. Darujcie biednemu pustelnikowi.

Całe grono otoczyło go ze współczuciem, dziękując za przyjęcie gościnne i pożegnało. Przed mieszkaniem prezesostwa pożegnano damy i w milczeniu rozeszli się oficerowie na swoje kwatery. —

Do północks w oknie dworu Kościuszki widać było światło. Znać niepokój sen spędzał mu z powiek. Siwy Jędrzej, stary wiarus na służbie będący, zajrzał przez szybę, i dojrzał jak siedział generał przy stole, pogrążony w głębokiej zadumie. Przeżegnał go krzyżem świętym i sam odmówił „Pod Twoję obronę.“

V.

Kiedy wesoło zebrane grono bawiło w ogrodzie doktora, a prezes po smacznej drzémcie zamierzał wyjść, ażeby dzielić jego uciechy, zaturkotał pojazd i stanął przed domem. Niedługo stary Walenty zameldował, iż przybył staroście Kozięłowski, szambelan króla JMości, który chce złożyć swe uszanowanie.

— Prosić! prosić! odrzekł prezes i sam, powstawszy z sofy, zbliżył się do drzwi na środek pokoju.

Ukazał się w nich teraz gość niespodziewany: sre-

dniego wzrostu, wychudły, z twarzą zmarszczkami okrytą, uśmiechniętą ciągle. Na głowie miał perukę fryzowaną — modny surdut po kolana popielatęj barwy z krótką pelerynką — kamizelkę atlasową jasno-zieloną, suto haftowaną złotem, spodnie za kolana tylko, przewiązane czarną wstążką — białe, jedwabne pończochy i krótkie ze sztylpami buty, do połowy łydek sięgające.

Zapach mocny piżma wypełnił pokój. Szambelan po grzecznym ukłonie stał chwilę, wpatrując się w gospodarza domu, zażył ze złotej tabakierki tabaki, błysnął brylantowym pierścieniem u prawej ręki, poprawił koronkowych żabotów u gorsetu i przy mankietach.

Kiedy prezes patrzył zdziwionemi oczyma na swego gościa, ten, wdzięcząc swoje oblicze, mówił powolnym głosem:

— Więc mnie już prezes, mój stary amicus, nie poznaje? przecieżeśmy razem byli na koronacyi Najjaśniejszego Pana, szczerześliwie nam panującego. Żurowski na te słowa z uszanowaniem pochylił głowę, a szambelan dalej mówił:

— Tak! tak! panie Macieju, nie poznałeś swego Ignasia, którego za dobrych naszych czasów zwałeś zawsze firecykiem. Prezes z radosnym uśmiechem podał mu wtedy rękę, uścisnął i posadził obok siebie.

— A mój panie Ignacy, nigdybym cię nie poznał! djabelnie się podstarzałeś, luboć — co prawda to nie

grzech — już rok trzydziesty z góry minął, jakieśmy się nie widzieli.

— Co tam! odrzekł wesoło szambelan, starzejem się na twarzy i w czuprynie, ale nie sercami; wszak prawda, panie Macieju? Jesteśmy zawsze starymi a dobrymi przyjaciółmi.

I rzucił się w objęcia gospodarza. — Prezes Walentemu kazał przynieść dobrego węgryna: szambelan bowiem podziękował za podwieczorek, a po jednym i drugim kieliszku rzekł niby niechcący:

— Cóż tutaj porabia Amerykanin?

— Jaki? zapytał zdziwiony prezes.

— Czyż się nie domyślasz, panie Macieju, że mówię o waszym jenerale, co stoi kwaterą w Międzyborzu?

— A! o Kościuszcze!

— Tak! o nim chcę mówić, ciągnął z uśmiechem ironicznym—któregom już przeklął na zły grobli ztąd o milę.

— A to dla czego? zapytał ciekawie prezes.

— Bo z jego powodu musiałem zboczyć z drogi i wstąpić do Międzyborza i do was, prezesie, spełniając wyraźnie rozkaz Jego Król. Mości, szczęśliwie nam panującego.

Zadziwienie coraz większe wzrastało w gospodarzu domu: dostrzegł to szambelan, a wychyliwszy czwarty węgryna kieliszek, rzekł cichszym i wolniejszym jeszcze głosem:

— Zacznę ci więc ab ovo. Wiesz zapewne, że babka moja, co mieszkała pod Humanem, umarła we Lwowie, zapisując mnie cały swój majątek. Właśnie byłem na służbie u króla Jegomości, gdy odebrałem o tém wiadomość; prosiłem więc Najjaśniejszego Pana o urlop, który łaskawie udzielić mi raczył.

— A którądy twoja droga, szambelanie? zapytał mnie. Ja wymienilem znaczniejsze etapy.

— Proszę Cię, mój panie Ignacy, rzekł dobrotliwy monarcha, kładąc swoją piękną rękę na mojem ramieniu: Zrób mi jedną grzeczność. — Ja skłoniłem głowę z uszanowaniem, oświadczając, że będzie to dla mnie najmilszą rzeczą, gdy król Jegomość mówił dalej:

— W Międzyborzu stoi kwaterą nasz Amerykanin — bo tak w zamku króla Jegomości zowiemy waszego jenerała — a przybył tam do Sztakenszmitta mój dawny przyjaciel, Maciej Żurowski, deputat a teraz prezes, wraz z żoną i córką, bardzo piękną panną. Wiesz mój Ignacy, znizając głos swój dodał Najjaśniejszy Pan, że nasz waleczny Amerykanin wielki bałamut. Jak mam wiadomość łatwo zdobył serce młodej panienki, ale wiedząc, że ojciec tak łatwo mu córki nie da, bo całym jego majątkiem, jest ranga jeneralska....

— Przecież ma swoje wieś od przodków dawnych, Siechnowice! — przerwał dotknięty żywo prezes.

— Gdzie tam! obelguje! miał, ale dawno zmarno-

trawił! ale mi nie przerywaj, aż skończę, kochany Macieju — mówił szambelan, szósty kończąc kieliszek starego węgrzyna, po którym i oczy mu zajaśniały i rumieniec na blade, a zmarszczone wystąpił oblicze. — Otóż — mówił dalej król Jegomość — Amerykanin postanowił wykraść córkę prezesowi.

Na te słowa zerwał się z kanapy Żurowski. Widać w nim było wewnętrzną walkę. Nie dowierzał z początku słowom szambelana, ale, gdy rozważył że król zna tak dokładnie stosunki domowe jego i wie co się dzieje w Międzyborzu tak szczegółowo, zaczął niespokojnie przechadzać się po pokoju, nie mogąc dobrać słów do odpowiedzi.

Szambelan, popijając z kieliszka i cmokając ustami, spoglądał z pod oka na gospodarza, który to targał wasy, to pocierał czupryny, to załamywał ręce i coś pomrukiwał z cicha. Nie mogąc się odpowiedzi doczekać, po dłuższej chwili przemówił:

— Nie nowina to! mówił dalej król Jegomość; wszakże wiesz mój panie Ignacy, jak wykradł dawniej hetmanównę?

Żurowski upamiętał się w swoim niepokoju, usiadł przy stole, nalał sobie kieliszek jeden i drugi, a pijąc je pośpiesznie, rzekł drżącym głosem:

— Słyszałem coś o tém, lecz opowiedz mi szczegółowo, panie Ignacy.

Szambelan zażył tabaki, a poprawiwszy żabotów, odrzekł:

— Opowiem ci, panie Macieju, wedle słów Najjaśniejszego pana, szczęśliwie nam panującego, wiernie i akuratnie. — Wiesz, że Kościuszko z ubogiej na Litwie pochodzi rodziny: znał jego ojca pan hetman Sosnowski i za poważnym wpływem swoim, umieścił go w korpusie kadetów w Warszawie. Chłopak się dobrze uczył i zwrócił uwagę księcia jenerała Ziem Podolskich, a następnie zyskał jego względy, przy czém miał sposobność zbliżyć się do osoby Jego Królewskiej Mości, szczęśliwie nam panującego. — Kiedy ukończywszy nauki, nie miał co robić, bo w wojsku Rzeczypospolitej przy błogim pokoju nie tak łatwy był awans, pan hetman wziął go na dwór, a młody kadet przez wdzięczność zaczął uczyć rysunków, historyi i jeografii dostojne jego córki. Ale przy téj sposobności nie zaniedbał korzystać ze zbliżenia i pozyskał serce młodej hetmanówny Ludwiki. Dobrze jednak wiedział hołysz, że tak łatwo ręki jój nie dostanie. Przybywa do Warszawy, staje przed szczęśliwie nam panującym Panem i zwierza mu się ze swój miłości. Znasz i wiesz sam, jak dobrotliwy jest nasz król szczęśliwie nam panujący. Wysłuchał cierpliwie młodego zapaleńca, perswadował mu po przyjacielsku nawet, pokazując wymownie niepodobieństwo takiego związku. Ale ten, uparty

jak Litwin, miał zuchwałość powiedzieć Najjaśniejszemu szczęśliwie nam panującemu te słowa:

— Jeżeli Wasza Królewska Mość nie dopomoże, to ja pannę sam wykradnę!

Uklonił się i odjechał. Wtedy monarcha nasz co rychlej wysłał posłańca do hetmana, ostrzegając go o zamiarach pana kadeta. Za późno przybył, bo już uchodziła z uwodzicielem panna Ludwika, ale wysłani ludzie dognali kochanków. Amerykanin bronił się dzielnie, cięty szablą upadł: panna omdlała. Przyniesiono ją do dworu, a uwodziciela skrwawionego i związanego stawiono przed hetmanem, który rzekł do niego groźnym głosem:

— Młokosie! wiedz, że synogarlice nie dla wróbli a córki magnackie nie dla szlachetków! Gdybym nie miał uwagi na pamięć twojego ojca, inaczejbym z tobą postąpił, a teraz tylko wypędzam cię na zawsze z mego domu, bo za wysokie są jego progi na twoje nogi.

Rozkazał go felczerowi nadwornemu opatrzyć, rozwiązać i wywieść do najbliższego miasta z jego matkami.

— Zuchwały był zapewne zamiar młodzieńca, przemówił zamyślony Żurowski, ale zuchwalsza mowa hetmana. Szlachetka! a z kąd sam wyrosł? także był szlachetką! Wielki magnat, butny, a z jego śmiercią skończy się wielkie państwo i duma!

Szambelan zdziwiony słuchał mowy prezesa, utulił oburzenie swoje na tak gorszące demokratyczne zasady, popił z nowego gąsiorka węgryzna i mówił dalej:

— Król Jegomość, szczęśliwie nam panujący, gdy opowiedział mi całą historią, dołął w końcu: Czém skorupka za młodu nasiąknie, tém zawsze trąci; wstąpże do Międzyborza, pozdrów Deputata odemnie i ostrzeż w mojem imieniu. Ja spełniam, kochany panie Macieju, tylko rozkaz króla Jegomości, szczęśliwie nam panującego! I skłonił głowę pokornie, wymawiając z uszanowaniem a dobitnie ostatnie słowa.

Prezes westchnął głęboko, jakby kamień naciskał mu piersi i milczał. Szambelan, zażywając tabakę, poprawiając zaboty i mankiety, spoglądał z pod oka, jaki skutek jego mowa wywrze na nim. Gdy go ujrzał złamanego i osępiałego, rozgrzany winem, rzekł nagle:

— Muszę cię pożegnać, kochany panie Macieju, bo czas nagli i mam obliczoną każdą sekundę. — I spojrział na zegarek, brylantami wysadzany, dobyty z głębokiej kieszeni atlasowej kamizelki.

— To — mówił — jest drogocenny dar Najjaśniejszego Pana, szczęśliwie nam panującego. Za wierną służbę, za pracę, od której przysłała wcześniejsza siwizna, raczył mnie obdarzyć tym pysznym podarkiem, a później zaszczycił i orderem świętego Stanisława. Wyborna to sztuka, ale i mój podróżny pektoralik, jako

zegarek, doskonale dotrzymuje pola brylantowemu magnatowi.

I znowu wydobył z kieszeni przedniej na piersiach złoty zegarek z długimi dewizkami, pokazując, że oba na sekundę nie chybiają. Nalawszy sobie nowy kieliszek, zawołał wesołym tonem:

— No mój stary przyjacielu, żyj szczęśliwy i tyle lat zdrowo, ile ma lat ten wyborny węgryz!

Po czém, uściskawszy gospodarza serdecznie, zabierał się do wyjścia, gdy nagle, stanawszy na środku pokoju, rzekł do prezesa:

— Ot! mój panie Macieju, byłbym zapomniał przy natłoku poleceń Jego Królewskiej Mości, szczęśliwie nam panującego! Jadę do Lwowa, a mój plenipotent nie stawiał się na słowie i nie przysłał mi pieniędzy. Nie mógłbyś mi, prezesie, na tydzień wygodzić ze trzysta czerwonych złotych? —

— Tyle nie mam, ale dwustu mogę ci służyć, mój panie Ignacy! odpowiedział Żurowski.

— No! zajadę tém do Lwowa i załatwię interesa, a potem do Humania lecę. Pozwól pióra i papieru....

— A mnie na co skrypt twój? przerwał prezes. Między ludźmi uczciwymi dosyć słowa obywatelskiego. Czekam zwrotu za dni dziesięć. —

Szambelan cofnął się o kilka kroków, zdziwiony

temi słowy, ale miarkując się, pokłonił głową, a skrywając szyderczy uśmiech, rzekł:

— Po tym szlachetnym czynie poznaję prawdziwego szlachcica polskiego.

Prezes otworzył kantorek i wyliczył na stole dwieście dukatów nowych z pod stempla. Zaiskrzyły się oczy szambelanowi na widok złota; zgarnął je co rychlój do sakwy jedwabnej.

— Król Jegomość... (już nie dodał: „szczęśliwie nam panujący“) będzie wiedział o tym wspaniałym czynie twoim, panie Macieju.

Uściskał go serdecznie i z pośpiechem wybiegł do przedpokoju: bitego talara Walentemu wsunął w rękę, wskoczył do pojazdu i kazał gnać co siły, by prędkiej opuścić Międzybórz. —

Po jego odjeździe Żurowski długo chodził ze spuszczoną głową po pokoju. Nie mógł zebrać myśli do ładu. Jakiś ciężar cisnął mu piersi: otworzył więc okno, ażeby odetchnąć świeżem powietrzem. Księżyc na jasnym świecił lazurze; w pobliskim zwierzyńcu doktora zawodziły słowiki. Ten śpiew, noc pogodna, jasna i ciszsza w około uspakajały wzburzenie jego. Zaczął swobodniej oddychać całą piersią.

Czy on mówił prawdę? myślał sobie. Jakżeby śmiał kłamać słowa królewskie? Lecz z kąd król wie o wszystkiém, gdy dopiero kilka tygodni bawimy w Mię-

dzyborzu? zkąd taka nienawiść do jenerała, gdy własnoręcznie pisał do niego w tak pochlebnych i ujmujących wyrazach, ciesząc się, że bohater, na drugiej półkuli świata znany, ozdobi wojska Rzeczypospolitej? — Ale król mylić się nie może, zna go lepiej — bądźmy więc ostrożni. Czyż prawda, że go Tocią kocha? Choćby nawet tak było, to nie dla niej partya.

Siedział długo w tych myślach, gdy dosłyszał kwilenie puchacza. Dreszcz go przejął — pokręcił wąsy, i pomruknął: „zły to prognostyk.“ Spojrzał po chwili oknem i wśród jasnej nocy ujrzał całe grono wracających ze zwierzynca doktora. Jenerał prowadził pod rękę Tocię. Prezes odstąpił od okna, padł na kanapę, zakrył oczy rękoma, westchnął boleśnie z głębi piersi i zawołał głośno:

Nie! nie! nie! —

VI.

Prezes z zachmurzoném czołem powitał żonę, po dał rękę milcząc Toci i Tekli do pocałowania na dobranoc, Brygidzie tylko głową skłonił. Panny, zdziwione jego smutkiem, odeszły z ciotką zaszępiione, strudzone jednak przechadzką, rozmarzone rozmową i doznaniem wzruszeniem prędko i smaczno zasnęły.

Ale w sypialnej komnacie cicha rozmowa między rodzicami trwała długo: na głos prezesa ratunku! wbiegła panna Brygida, której sen z powiek uleciał. Matka po dwakroć omdlewała, miała bicie serca, a Żurowski, na kolanach przed nią klęcząc, całował jęj ręce i utulał, w jakimś dziwnym będąc rozstroju nerwowym. Po spazmach i palpitacyi serca nastąpiło osłabienie mocne. Doktor Stakensmitt przywołany, przerażony był jęj stanem: coś długo w kącie mówił z prezesem, groził mu surowo, a ten słuchał z dziwną pokorą.

Około drugiej w nocy uspokoiło się wszystko, Stakensmitt nie położył się, ale chodził po swoim zwierzynku. Wkrótce świtać zaczęło. — Kościuszko już był na nogach: jakiś niepokój sen mu odebrał, wiedziony szczególném przeczuciem, chciał przejść się po zwierzynku, tyle drogim sobie, gdy na samém wnijsciu spotkał doktora. Od niego dowiedział się o zaszłej scenie u prezesów, o chorobie zacnej matrony. Osmutniał nagle, uściśnął go za rękę, i wolnym krokiem wrócił do swęj kwatery.

Słońce już wybiło wysoko, gdy się razem prawie obie przyjaciółki obudziły i co rychlęj ubrały. Niedługo z cicha się drzwi otwarły i ukazała się panna Brygida z zapłakanemi oczyma i przybladłym licem.

— Co to cioci? rzekła przerażona Tucia, patrząc na nią, wystraszonemi oczyma.

— Nie! nie! moje panny! tylko cicho! i to mówiąc, na palcach podeszła i drzwi od sali na klucz zamknęła. Usiadła na kuferku zmęczona i z cicha długo płakała. Gdy się ukoila nieco:

— Straszna to noc była, mówiła; matka, moja droga bratowa, o mało życiem nie przypłaciła. Tocią zerwała się wybladła i biedz chciała, ale wstrzymała ją ciotka.

— Teraz śpi i potrzebuje spoczynku; czuwa tam przy niej pan brat troskliwie.

— Cóż to było? pyta Orlewska.

— Kiedyśmy używali miłej przechadzki w zwierzyńcu doktora, zjawił się gość, a raczej djabeł rogaty, niby szambelan króla a dawny przyjaciel pana brata, który niestworzone rzeczy mu nagadał na naszego jenerała. Napoiwszy jego serce jadem, wyjechał, nimeśmy wrócili. — Ojciec twój, Tociu, pałając jakąś dziwną, nienawiścią na pana Tadeusza, byłby dziś jeszcze z nami opuścił Międzybórz, gdyby nie choroba pani bratowej.

Ale po rozmowie z doktorem, który mu dał surowe napomnienie, zmiękł nieco i przestraszony o zdrowie matki, milczy; widziałam nawet, że płakał w kąciuku.

— Ależ co ten gość gadał na jenerała? mów ciotka.

— Wszystkiego jeszcze nie wiem dokładnie, ale niedługo dowiemy się od doktora.

W téj chwili Walenty poprosił panny Brygidy, mówiąc, że gość czeka: jakoż w przedpokoju ujrzała Kniaziewicza, który przyniósł liścik od jenerała do Toci, objaśnił ją o całej rozmowie i nikczemnej potwarzy szambelana na Kościuszkę.

— Szczęście jego, że ztąd ten łotr uciekł, mówił drżący jeszcze gniewem: gdybyśmy go złapali, miałby gorącą łaźnię, od którejby go nie uratował ani order ani tytuł szambelana.

Ciotka doręczyła liścik siostrzenicy, a sama po cichu podsunęła się do sypialnej komnaty prezesowej. — Już nie spała, weszła więc, a całując ją, życzyła dnia dobrego.

Żurowski siedział przy oknie i modlił się z książki od nabożeństwa.

— Jakże dzisiaj pani bratowej? spytała panna Brygida.

— O lepiej mi znacznie po lekarstwie doktora, ale tak osłabioną jestem, że się ruszyć nie mogę. A gdzie Tucia i Teklusia? niech je zobaczę.

Obiedwie zaraz nadbiegły, a ich rozmowa i pieśszoty orzeźwiły chorą. Ojciec z niezwykłą czułością, ucałował córkę i pozdrowił tak pannę Brygidę jak Teklę: a potem znowu się modlił. Cały dzień chora nie opuściła łóża: prezes kazał prosić obu rotmistrzów i Kniaziewicza na wieczór, żeby żonę rozerwać, gdy będzie słyszała ich rozmowę. Stawili się wszyscy z zasępieniem obliczem.

Prezes przyjął ich jak najserdeczniej, kazał przygotować kolacyą, częstował starym węgrynem, ale ochoty dawniej rozbudzić nie mógł. Tocia więcej przy łożu matki przesiedziała: panna Tekla i Brygida zabawiały swych gości. — Rotmistrz Potocki rozmawiał z prezesem o świeżych wypadkach w kraju, o ustawie rządowej 3 maja, którą czytał właśnie u generała w kwaterze, gdzie kilka jej egzemplarzy przysłano.

— Jak się ma pan Tadeusz? szepnęła Orlewska do Kniaziewicza.

— Smutny, bardzo smutny, czeka na odpis i zobowiązał mnie, abym go przyniósł.

Panna Tekla podniosła się nieznacznie, weszła do sypialni prezesowej i dała znak Toci.

— Ja teraz zostanę przy mamie — mówiła — ty baw gości, bo się dopytują o ciebie.

Tocia przesunęła się przez sale, i drżącą ręką skreśliła na kartce kilka wyrazów. Oddała je pannie Tekli, która doręczyła je Kniaziewiczowi. — Wcześniej, niż zwykle, goście pożegnali gospodarza i damy. Prezes odprowadził ich do drzwi i zapraszał, aby pamiętali o jego domu.

— Bo nas tu niedługo w Międzyborzu, mówił jakby na przestrożę, czekam tylko na ozdrowienie mojej pannenki, a potem do domu. W Ihnatowicach zato czekać będziemy z utęsznieniem i lepiej przyjmiemy z chlebem i solą.

— A czy z dobrą wolą? rzucił z uśmiechem rze-
wnym Kniaziewicz.

— Z dobrą wolą, ze szczerem i kochającym ser-
cem, odrzekł Żurowski, ściskając młodzieńca serdecznie.

Nazajutrz rano odwiedził chorą, zacny doktor i rad
był, że stan jój znacznie się poprawił. Usiadłszy przy
łożu, wziął ją za rękę, badał uderzenie pulsu, poczem
uśmiechnął się wesoło i całując trzymaną dłoń pre-
zesowój, wyrzekł.

— Pani moja kochana! Dziś troszkę z łóżeczka
powstaniemy w południe: posilimy się kropelkami, które
zaraz zapiszę, rosółkiem z cielęciny i kurczątkiem pie-
czoném: a we dwie godziny znowu do łóżeczka na spo-
czynek: ja tu przyjdę na egzekucyą.

Prezesowa uśmiechnęła się, patrząc na rozradowane
oblicze męża, który gładził czuprynę i pokręcał wąsy,
co zawsze było znamię dobrego humoru. Około
południa, kiedy usiadła w sali otoczona panną Teklą,
Brygidą i córką, wszedł Kniaziewicz i doręczył jój list
od jenerała. Drżącą ręką rozpieczętowawszy go, przeczy-
tała następne słowa:

„Nie mogę Bóg widzi, nie mogę zamilczeć, bo co
słyszę, czytam, piorun we mnie uderzył. Względem
plotków można się zaspokoić: Rotmistrz Potocki, który
jest tegoż województwa ze mną, może zaświadczyć, że
mam dziedzictwem wieś i sam trzymam ją. Niekażesz

już mnie pisać, moja matuniu, znać, że już po wszystkim, znać, że się nakłoniła do perswazyi, znać, że już i od niej oddalony na zawsze zostaję, znać, że prędko o swej przyjaźni zapomniała. Czynię z rozkazu zawsze matki mojej i jej, która zawsze w mem sercu będzie. Już nie będę pisywać, nie będę i bywać, aby trucizną wzrok jej dla mnie nie był. Nie będę już w domu waszym, bo-
bym sobie przypomniał okrutność losu mego. Niechże was zawsze jednak opatrność najwyższa błogosławi, a więcej już i pisać nie mogę.“

Tadeusz ¹⁾

Zacna matrona po odczytaniu tego listu zasępiła oblicze, a dwie łzy spadły na podpis jego imienia. To-
cia, która zbladła uważała każdy ruch matki, widząc te łzy, porwała list i czytać zaczęła. W miejscu, gdzie znalazła wątpliwość o swém przywiązaniu, uśmiechnęła się rzewnie, pokiwała główką, a gdy skończyła, pobiegła do swego pokoju. Tu drżącą ręką skreśliwszy kilka wyrazów, zwiniętą kartkę podała przyjaciółce, która i od siebie dodawszy przypisek, doręczyła ją Kniaziewiczowi. Widać, że potrafiła wszelkie usunąć podejrzenia w sercu Kościuszki, bo nad wieczorem, obiedwie czytały następny bilecik, zaadresowany do dwóch Teklusiów ²⁾.

¹⁾ Tak ten list, jak wszystkie przytoczone poniżej, są wier-
nie przepisane z autografów Kościuszki.

²⁾ Tekla Żurowska i Tekla Orlewska.

„Nie wiem do kogo mam napisać, czy do pierwszej Teklusi, czy do drugiej: ale to wiem, że pierwszą kocham, a drugiej największym jestem przyjacielem. Obie dwie mnie coś wyrzucają do czego nie czuję się. Do pierwszej sposobności nie miałem pisać i przez Kniaziewicza teraz odpisuję: druga oskarżać siebie powinna, że w zapomnienie puściła przyjaciela tak dobrego. Powiadają mi, że Orlewska dobrodziejka już się zapatrzyła na jednego, i ten zranił jej serce do miłości. Tekluniu! gdy będziesz pisać, przyslej mi razem jeden koral z szyi twojej. Niech opatrność w płaszczy szczęścia zupełnego obwinie ciebie, a o mojej stateczności, szacunku, uszanowaniu, bądź zawsze przekonana.“

Tadeusz.

Po przeczytaniu tych słów obie przyjaciółki z uśmiechem radosnym spojrzały sobie w oczy, ujęły się za ręce i tak stały, gdy panna Brygida weszła. Podały jej list jenerała: ciotka skończywszy go cały,

— Zaczny kawaler! — wyrzekła, — godny twojego, Tociu, serca: a tajemnica Tekluni nie ukryła się przed nim!

Prezes widząc ciągły smutek żony, dał na wotywę do Fary, którą pobożnie wysłuchał z całą swoją rodziną. Był to dzień sobotni, dzień Matce Boskiej poświęcony: osłabiona matrona modliła się gorąco do téj orędowniczki smutnych, sierot i opuszczonych. Za powrotem

z kościoła Żurowski prosił siostry, aby sutą przygotowała kolacją, bo cały sztab jenerała będzie wieczorem.

— Panienka moja, dzięki Bogu! zdrowsza (mówił): potrzeba jój rozrywki! to ją orzeźwi; idę zaprosić także pocziwego doktora.

Panna Brygida pospieszyła do swój siostrzenicy uwiadomić ją o tém.

— W niezwykle dobrym humorze uważałam pana brata: nie wiem co to się święci: ale panny dopomóżcie mi, żeby wystąpić należycie i wzywam was do siebie na sejmik.

Kiedy we trzy radziły o przysmakach kolacyi a stary kucharz Franciszek w białej szlafmicy, z fartuchem i nożem za pasem, oczekiwał na rozkazy, prezes już wracał od doktora, gdy usłyszał tętent koni i gwarną, wesołą rozmowę.

Jechał na czele Raciborski, wywijając na wszystkie strony zgrabnie swoim wierzchowcem. Za nim rotmistrze Potocki i Zaremba — w ostatku z opuszczoną głową na piersi, zadumany i milczący Kniaziewicz. — Na widok prezesa pospieszyli do niego, serdecznie witając. Żurowski uścisnął podane sobie dłonie, a Kniaziewicza prosił, że ma z nim na uboczu pomówić. Zeskoczył więc z konia, oddał go luzakowi i gdy obaj rotmistrze z Raciborskim po przyjęciu zaprosin na wieczrę odjechali galopem, prezes, trzymając pod rękę

Kniażewicza, zawrócił do Zwierzyńca i długą rozmowę rozpoczął. Znać treść jęj nie była smutna, bo młody wojak z rozjaśnioném obliczem skoczył na siodło i z kopyta się puścił. Ale osadził konia w miejscu pod oknem otwartém mieszkania prezesostwa, bo w nim stała panna Tekla i wdzięcznym go powitała uśmiechem. —

VII.

Duży stół, przybrany kwiatami, zastawiony był ciastami i butelkami opleśniałemi węgryna. — Żurowski, przybrany w kontusz granatowy, żupan perłowy, pas srebrzysty i buty pąsowe, przypominał stare wizerunki polonusów. Panienska jęgo biała po chorobie, z uśmiechem wdzięcznym, spoglądała na dorodną postać swęgo Macieja, który, chodząc po obszernęj sali, co chwila zbliżał się do jęj fotelu i całował jęj ręce.

Panna Brygida skremnie przybrana miała tylko we włosach małą wiązanę niezapominajek. Tocią i jęj przyjaciółką, aby się kochanęj cioci przypodobać, temię kwiatkami przystroily bujne swe warkocze. — Chociaż wszyscy milczeli, radość malowała się na kądżęgo obliczu, jakby anioł szczęścia i spokoju powionął białemi skrzydłami w tęg komnacie, dawny smutek wygnał, a zwabił nieznane wesele do kądżęgo serca.

Najwcześniejszym gościem pokazał się doktor, którego wszyscy powitali serdecznie. Stakenszmitt cieszył się widoczném polepszeniem zdrowia zacnej prezesowej, zbadał jęj puls, popatrzył w oblicze i mówił z uśmiechem:

— Teraz wracamy do zdrowia powoli: już i rumieniec wybijają pięknie, niedługo będziemy czerstwi jak dawniej — bo choroba to brzydka rzecz.

Kiedy kończył te słowa, szable w przedpokoju zabrękały, Walenty drzwi roztworzył i na czele orszaku oficerów ukazał się Kościuszko. —

Prezesowa wzruszona, nie mogąc wyrzec słowa, pochwyciła rękę męża, a całując skropiła ją łzami: Panna Brygida i Tekla mimowolnie zawołały:

— A pan Tadeusz!

Tocia ujrzawszy go, zbladła, wkrótce odzyskała rumieniec; radość i szczęście zajaśniało w jęj oczach i obliczu. Jenerał, którego serdecznie powitał Żurowski, pospieszył do osłabionęj prezesowej, przykląkł na kolano, a ująwszy jęj rękę i całując, patrzył oczyma łez pełnemi w jęj twarz, jak się rozjaśniała niezwykłym weselem. — Klęczącęją ujęła głowę, a całując szepnęła:

— Mój synu! pociesz biedną Tocię. —

Wszyscy głęboko byli poruszeni tym hołdem i częścią, jaką złożył jenerał zacnej matronie. Doktor, porwawszy silnie za rękę prezesa i surowo nań patrząc,

w milczeniu wskazał na klęczącego jenerała. Stary kredencierz Walenty, co stał w końcu sali, rozbeczał się i uciekł do przedpokoju.

Kiedy wszyscy milczeli, pierwszy przerwał gospodarz i rzekł:

— Bóg dotknął mnie chorobą, mojej panienki, ale dzięki mu i staraniu, a nauce szanownego doktora wraca do zdrowia. Chiałem, aby grono życzliwych przyjaciół podzieliło ze mną moje szczęście i radość. I jesteśmy wszyscy razem, aby uczcić ten dzień....

Ale wzruszony — dalej mówić nie mógł i odwrócił głowę, żeby łzy ukryć.

Kościuszek z rzewnem uczuciem zbliżył się do Toci i powitał ją po długim niewidzeniu. Usiedli oboje przy oknie na małej kanapce, a ciotka z rotmistrzem i panna Tekla z Kniaziewiczem tak miejsca zajęli, że ukryci oboje przed wszystkich oczyma swobodnie rozmawiać mogli. Rotmistrz Potocki i doktor, jakby podmówieni, bawili gospodarstwo; radość prezesa była nieopisaną, gdy usłyszał pierwszy głośny śmiech, serdeczny swojej panienki.

— Widzisz, panie Macieju! — szepnął mu doktor — co to może wesele serca! patrz na oblicze żony, a ożywione spojrzenie, rumieniec na twarzy, jak ładnie wygląda! To najlepszy doktor i najpewniejsza apteka!

Panna Brygida dała znak do wieczerzy. Usiedli wszyscy do stołu: jenerał znalazł się obok Toci, Tekla przy Kniaziewiczu, Zaremba przy pannie Brygidzie. Dektor obok prezesowój, przy nim gospodarz, a naprzeciwko zajął miejsce rotmistrz Potocki razem z Raciborskim. Walenty obnosząc potrawy, gdy się zbliżył do jenerała, pocałował go w ramię, który ścisnął pocziwego starca za rękę. Kiedy prezes nalał kielich wiwatowy i miał wzniesć go w górę — nagle pod gankiem zabrzmiała kapela wojskowa. Była to niespodzianka, urządzona przez Kniaziewicza i Zarembę z Raciborskim. Zagrała znany i ulubiony marsz króla Sobieskiego z pod Żurawna.

Żurawski zadrżał na tę nutę, tak dobrze sobie znajomą, postawił pełny kielich na stole, zapal niezwykły zajaśniał mu w oczach i wtórując kapeli, zaczął silnym a dzwięcznym głosem śpiewać dawną pieśń na chwałę króla Sobieskiego, przywiązaną do téj nóty. — Zawtorowali mu Potocki, Zaremba, Kniaziewicz i Raciborski: połączyły głos swój prezesowa, panna Brygida i Tekla. Chór ten brzmiał donośnie, a kapela słysząc go, z nowym przygrywała zapalem. Tylko pan Tadeusz i Tucia patrząc na siebie wymownym wzrokiem, milczeli. —

Pieśń się skończyła — kapela ucichła. Prezes wybiegł uradowany na ganek i rzucił w sakwie jedwabnej

tuzin dla niej dukatów. Walentemu kazał dać częstunek suty, a sam kłaniał się i dziękował serdecznie. Kapela tak hojnie nagrodzona i gościnnie podjęta, w końcu kolacyi wesołego zagrała chmiela.

Prezes po wzniesieniu zdrowia króla Jegomości, przesławnéj Rzeczypospolitéj, wojska, zdrowia jenerała i towarzyszków jego broni, rozochocony, gdy usłyszał ludową, weselną pieśń o chmielu, z kielichem ukląkł przed swą panienką, odśpiewał parę téj pieśni zwrotek, a potém całując jéj ręce, mówił z serdeczną radością:

— Panienko [moja! duszko złota! czy słyszysz, co grają? Wszak ci to i na naszym weselu grano i śpiewano przy twych oczepinach chmiela. Dobre to były czasy i panienka moja pewnie w żywój je zachowała pamięci...

Chciał więcéj coś mówić, ale z wdzięcznym uśmiechem zacna matrona białą dłonią zakryła mu usta, szepnąwszy z cicha:

— Cicho, Maciusiu! chcesz za wiele mówić.

Do północy bawiono się wesoło: prezes ścisnął wszystkich i całował. Doktor dał znak rozejścia się, żeby choréj zbyt nie utrudzić.

Wszyscy przespali tę noc smaczno: Zaremba chwyląc się, mówił, że spał jak suseł: nawet jenerał obudził się dopiero o siódméj nad ranem. — Zanim

wyjechał na przegład przybyłej świeżo kawaleryi do Międzyborza, pisał coś długo: a kiedy wpadł Kniaziewicz, [prosił go, aby doręczył list chorążance — jak zwali Tocię — bo prezes nosił w sąsiedztwie swoim tytuł chorążego. — Spełnił życzenie jego: a Tocia, z radością, czytała następne wyrazy:

„Powiedz swoje zdanie, Teklusi!

Do Jaśnie Wielmożnego Chorążego. Od JW. Pana zawisł mój los, w jego ręku uszczęśliwienie moje. Zapewne poznajesz, że kocham JW. Chorążankę, a że chciałbym być jej przyjacielem dożgonnym, jemu się zwierzam. Znam sentymenta jego, charakter i sposób myślenia, zupełnie się spuszczam na jego układ, wolę urzędzenia. Wiem że uszczęśliwiając jedną osobę, niezapomniesz o drugiej. Jeżeli pozyskam jego aprobatę, a która z pierwszego poznania, wraziwszy w sercu moim winne mu uszanowanie, chciałaby przydać przywiązanie synowskie aż do śmierci. Nieomylisz się JW. Pan Dobrodziej w nięj w niczem. Zawsze otwartość z prawdą idzie, nie obojętność albo uleganie do okoliczności, ale wdzięczność w każdym czasie nieprzerwanie za dobrodziejstwo jemu skazane ¹⁾.”

¹⁾ Dosłownie z oryginału Kościuszki.

List ten napisał wskutek tak serdecznego wczorajszego przyjęcia i narady zobopólnej z chorążanką. Pochwaliły ten zamiar matka, panna Brygida i Tekla. Tacia odpisała, że myśl dobra i potrzeba przyspieszyć nadesłanie takiego listu.

Kościuszko jeszcze tegoż dnia go przepisał i przez Kniaziewicza posłał, ażeby doręczył go prezesowi. — Sam rozdrażniony — w oczekiwaniu, siadł na konia i wyjechał za miasto.

Śliczne okolice Międzyborza, świeży powiew wiosenny wpłynęły na jego uspokojenie. Wrócił do kwatery już późno wieczorem, ukończywszy przegląd dwóch szwadronów jazdy, a stary Jędrzej doręczył mu kartkę od Kniaziewicza w tych słowach:

„Jenerale! doręczyłem twój list prezesowi. Nie rozpieczętował go przy mnie, ale oświadczył, że później nań odpisze. Był uprzejmy jak zwykle i gościnnie, ale więcej zasmucony.

Karól.“

VIII.

W kwaterze rotmistrza Zaremby na rynku Międzyborza ruch był niezwykły. Uwijało się kilku szeregowców, biegał Raciborski po mieście, a Janusz Gil ze szwadronu rotmistrza, który oprócz zalety, że wybornie grał na trąbę, był zawołanym kucharzem, po obszerniej

kuchni przy wielkim ognisku komina z przewiazaną głową, z zakasanemi rękawami i białym u pasa fartuchem, uwijał się żwawo i kuchcikowi oraz dwom rekrutom wydawał rozkazy.

Mała kupka kartofli, jarzyna wówczas osobliwa, leżała na stole. Zaremba wydał mu szczegółowe rozporządzenie co do ich przyprawy, a nauczył się jej w obozie konfederackim. — Przysłano jako dar osobliwy Kazimierzowi Pułaskiemu woreczek kartofli i oddano jego kucharzowi. Ten w głowę zachodził co z niemi zrobić, ale w końcu wpadł na wyborny concept, obrał z lupiny, ugotował i podał z jajecznicą. Wszyscy nie mogli się odchwalić smaku nowój potrawy i nasz rotmistrz wtedy razem ją pożywał: pamiętał więc dobrze, jak się obejść z kartoflami.

Walenty stary od rana pokilkakroć przychodził a przynosił od panny Brygidy i w imieniu pani prezesowej, to chorążanki rozmaite przysmaki do przykrasy uczt, jaką dziś dawał Zaremba.

Z Warszawy przyjechał do Międzyborza poseł z sejmu Morski, przyjaciel i wielbiciel gorący Kościuszki. Rotmistrz, który go znał od lat młodych, dla uczczenia miłego gościa podejmował go kawalerskiem śniadaniem. —

Około południa w gronie znanych nam oficerów, siedł w polskim stroju z szablą u boku Morski. Piękna

jego postać odbijała od urodnych wojaków. Dobrego wzrostu, średniej tuszy, okazałe w kontuszu i żupanie wyglądał. Czapka rogatywka okrywała podgoloną głowę. Wąs sumiasty zdobił oblicze pociągłe, wdzięczne i czerstwe. Rotmistrz już czekał przy wniścieniu na wschody na gościa swego, —

Na pierwszém piętrze stał Zaremba: miał dużą komnatę o dwóch oknach z gankiem na rynek, a przy niej dwie alkówki. — Na środku komnaty już stół był suto zastawiony: smak tu kredencierza Walentego odbijał. Kwiaty z ogrodu doktora zdobiły środek, przy nich stały konfitury rozmaitego gatunku, dar to panny Brygidy i Toci. Pomiedzy nakryciem przed honorowém miejscem stały dwa gąsiorki opleśniałego węgrzyna, przysłane z piwnicy prezesa, który z powodu lekkiej słabości bytności swęj odmówił. — Kościuszek od kilku godzin wyjechał był do Połonnego po długiej rozmowie z Morskim. —

Po przepiciu wódką gdańską i zakąsce toruńskim piernikiem zebrane towarzystwo zasiadło do stołu. Morskiego posadzono przed gąsiorkami, a gospodarz dał znak, aby przynoszono z kuchni. Walenty po obsłudze państwu swemu zdążył na czas do pomocy rotmistrzowi i sam obnosił potrawy.

Kawalerskie śniadanie rozpoczął barszcz, na wołowinie i wieprzowinie gotowany: po nim dano wyborne

kielbasy z zawiesistym sosem, dar od pani burmistrzowej Międzyborza, która niedawo zabiła wieprza, a jako daleka krewniaczka rotmistrza nadesłała spory ich zapas. Teraz wniesiono na półmisku ogromnego szczupaka po żydowsku: wszyscy nie mogli się dość go nasmakować. Było to arcydzieło trębacza Janusza, który się przyprawy téj ryby nauczył już w Międzyborzu od młodej arendarki z austeryi pani Mordkowej. — Po szczupaku podano raritas, jak wyrażał się Zaremba, — kartofle z jajecznicą, — kończyła sutą, ucztę ogromna pieczeń huzarska, po której częstował słodyczami gospodarz. — Ale obecni zaledwie je pokosztowali; jeden Raciborski co się niemi uraczał obficie.

Rozmowa nie szła składnie, bo wszyscy przy dobrym apetycie naprzód głód zaspakajali. Ale przy wetach i po czystym węgrynie rozwiązały się usta. Przy niesiono czarną kawę i fajki. —

— Teraz — mówił gospodarz do Morskiego — mój panie Piotrze, opowiedz nam nowiny stołeczne. My tu na partykularzu siedzimy, jak mnichy w klasztorze

Raciborski parsknął śmiechem i o mało się nie zadławił konfiturami, które zajadał łakomie. Kniaziewicz zawtórzyl mu radośnie, Potocki uśmiech chciał ukryć, a Walenty odwrócił głowę i usta zasłonił serwetą. —

Zaremba z początku poczerwieniał, ale potem zaczął śmiać się serdecznie. —

— A żeby was kurki podziobały, mówił pocziwy wojak, nie ukryć przed nimi nie można.

Morski, który nie wiedział powodu tak nagłej wesołości, ale więcej się domyślał, rzekł do gospodarza.

— Ej! Stasiu! zaczyna szydło wyłazić z worka! Zapewnie habrowe a śliczne oczka panny Orlewskiej zraniły serce konfederata!

Raciborski na nowo parsknął śmiechem i kończąc kieliszek węgryzna, o mało się co nie zachłysnął. — Rotmistrz Potocki poważnie nastroił oblicze, ale Zaremba zaczął się śmiać tak radośnie, że Morski zmiarkował, iż się pomylił w swoich domysłach. Rzucił okiem na Kniaziewicza: młody porucznik siedział oblany rumieńcem, jakby na rozpalonych węglach; sam nie wiedział, co z sobą robić, czy dzielić radość swoich towarzyszy, czy milczeniem pokryć odpowiedź. —

Ale doświadczony poseł łatwo odkrył, co się w sercu jego działo: ujął więc kieliszek i rzekł:

— A więc nieznanej bogdanki naszego gospodarza piję zdrowie.

— Za pozwoleniem, mówi Zaremba, takie zdrowie wypijemy z zapleśniałego gąsiorka.

— Ja tego zdrowia pić nie mogę, zawołał Raciborski.

— A to dla czego? pyta gospodarz, patrząc surowo i groźnie w oczy kadetowi.

— Bo nie chcę kłamać, zwodzić pana posła — odrzekł — my kochając szczerze naszego zacnego rotmistrza, znamy dobrze jego bogdankę! Wymieniam więc ją głośno: Wiwat panna Brygida Żurowska!

Zaremba ochłonął z wzrastającego już gniewu: rozchmurzyło się jego szlachetne oblicze, odetchnął tak swobodnie, jakby mu spadł kamień z piersi, pobiegł do Raciborskiego, a ściskając go serdecznie w swoich objęciach, zawołał:

— Teraz pijmy! niech każdy wychyli zdrowie téj, co kocha!

Morski podniósł poważnie puhar w górę — i rzekł:

— Moja bogdanka z dwójgiem aniołów w mogile schowana. Jestem sam wdowiec, i więcéj ślubów małżeńskich nie powtórzę! Ale jestem na służbie Rzeczypospolitéj — to nasza wszystkich bogdanka. Przed wszystkiemi wznoszę jéj zdrowie!

Toast ten wychylono z zapalem.

— Szkoda, że nie ma w naszém gronie naszego generała, mówił Kniaziewicz, ochłonawszy ze wzruszenia. —

— Smutny i smutny zawsze! dodał Potocki.

— Nasze życie, to nie jak wianki wić, moi przyjaciele, rzekł poseł. Byłem świadkiem niedawno wielkiéj radości w stolicy; bogdajbym nie patrzył i na wielki smutek. Zbierają się groźne chmury na pogo-

dném dotąd niebie: czy Bóg zażegna burzę — to przyszłość pokaże.

Biedny Tadeusz! od pierwszej młodości doznawa ciężkich zmian losu! Zyskał sławę, piękne imię, a tro-ska trzyma się go tak wiernie jak szabla. Nie uwie-rzycie z jakim w czasie sejmu wspomniano go zapalem. Wszyscy mówili o nim, wyliczali waleczne jego czyny w Ameryce, które mu zjednały przyjaźń i szacunek dwóch największych ludzi w świecie: Waszyngtona i Lafajeta!

— A my go zarówno szanujemy, jak kochamy, rzekł Zaremba: dalej towarzysze na zdrowie naszego jenerała! —

Raciborski w téj chwili wbiegł do alkowy i dał znak powiewem chustki.

Kiedy wzniesiono kielichy, naraz huk moździerza zabrzmiał i wystrzały ręcznej broni!

— Co to jest! krzyknął gospodarz.

— Tak się pije zdrowie naszego jenerała, odrzekł spokojnie Raciborski: bo w dymie prochowym, przy huku armat — jego imię na nowo się uświetni!

Zaremba porwał za szyję kadeta i ucałował w głowę:

— Miałem cię za krogulczyka, mówił rotmistrz, rozrzewnionym głosem, a ty zaczynasz porastać w orle piórka. — Ale zkadżeś u djaska wziął moździerza?

— Pożyczyłem go od księdza proboszcza od Fary,

co go chowa na rezurekcyą wielkanocną. Przecież wiesz, rotmistrzu, że nasza artylerya o dwie mile jest na leży. —

Rozruch, który powstał [w mieście na te strzały, wkrótce się uspokoił.

Walenty wcześniej wybiegł i uprzedził panią, swoją i panny, ażeby się nie przestraszyły.

— Cóż tam? bawią się wesoło? zapytała kreden-cerza panna Brygida, zawezwawszy go do pokoju Toci.

— Bardzo wesoło — to nie powiem, ale ochoczo, odrzekł Walenty. —

— A czyjeż zdrowie pili?

— Pierwsze wypili panny Brygidy Żurowskiej, a na-szej kochanej pani, i to mówiąc, pocałował ją w rękę.

Zakraśniała żywym rumieńcem pocziwa ciotka, ale ochłonawszy ze wzruszenia, chciała dalej indagacye prowadzić — kiedy rozległ się huk moździerza i ręcznej broni, a Walenty zawołał radośnie:

— Teraz piją zdrowie naszego kochanego jenerała!

Wymówiwszy te słowa, rozplakał się jak dziecko i ze zwieszoną głową wyszedł do przedpokoju!

Tocia, Tekla i ciotka wbiegły do sali, gdzie siedziała z mężem prezesowa.

— Huczne kawalerskie śniadanie, mówił z uśmiechem Żurowski: wesoło się bawią. —

— Gdzie jenerał? zapytała matka.

— Od rana, wyjechał do Połonnego; tak mimówił Kniaziewicz, odrzekła panna Brygida. —

— No! moje panny, zaczniście się powoli pakować — mówił poważnie prezes — bo niedługo opuścimy Międzybórz. Wracamy do swoich Ihnatowic, tam będzie nam wygodniej, bo wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej. I dektór poleca to matce — i oszczędność każe, bo sakiwka coraz chudnie.

— Jak prędko wyjedziemy, panie bracie?

— Dnia jeszcze nie wiem, ale niedługo, niedługo!

Tocia z przyjaciółką, zbladły obiedwie na pierwsze ojca słowa, ale odetchnęły swobodniej, gdy wyjazd ten był jeszcze niepewny i odwleczony.

Panna Brygida zasepiona wyszła do swego pokoju, gdzie spotkała kredencera, siedzącego w kącie na kuferku, osowiałego i zadumanego.

— Poczeiwy mój Walenty — rzekła drżącym głosem — niedługo opuszczamy Międzybórz!

— Wiem, wiem o tém, kiwając smutnie głową, mówił starzec. A co się stanie z naszym jenerałem i z naszą kochaną panienką?

— Niech Bóg się nimi i nami opiekuje — szukajmy w modlitwie pociechy i pomocy, mój kochany Walenty.

IX.

Nie zaniedbał Morski nazajutrz odwiedzić i złożyć swego uszanowania prezesostwu.

Żurowski rad był wielce posłowi sławnego sejmu, który ogłosił pamiętną ustawę trzeciego maja. Z zajęciem słuchał opowiadań Morskiego i nateżył uwagę szczególnie, gdy tenże z zapalem mówił, jaki rozgłos miało imię Kościuszki na tym sejmie. *)

Morski przeszedł następnie do dworu króla Stanisława, uczonych czwartkowych obiadów: malował wymownie postacie zasiadających na nich literatów, powtarzał liczne dowcipy, które z zamku wybiegały na miasto, a ztąd po całej Rzeczypospolitej. —

Nie uwierzysz, szanowny prezesie, że i moje imię stało się powodem głośniejszej anegdoty. Krewniak mój, ksiądz kanonik Morski, był zaproszony od króla i potrafił zwrócić uwagę jego, tak przez naukę, jak i gładką wymowę. — Szambelan Węgierski, uwijał się właśnie po sali, gdy król Jegomość, chcąc go zapoznać z kanonikiem, zapytał, czy zna księdza Morskiego?

— Najjaśniejszy Panie! odrzekł poważnie z miną

*) „Wiem że Morski z entuzjazmem o mnie by gadał z przyjacieli i szacunku, cokolwiek słyszał i widział na sejmie o mnie, że byli łaskawi, chociaż nie zasłużyłem.“ (Z listu Kościuszki do Tekli Żurowskiej.)

zadziwioną: widziałem ciele morskie, znam konia mój-
jego, ale księdza morskiego jeszcze nie widziałem!

Uśmiechnęła się prezesowa, gospodarz rozjaśnił
posępne ciągle oblicze i jakby od niechcenia, zapy-
tał, co téż porabia na dworze jego dawny znajomy,
szambelan Ignacy?

Morski spokojnie odrzekł:

— Obecnie jest w niełasce króla za popełnione
niemałe grzeszki. Pozbawiony pensyi, przejadłszy dwie
fortunki, spadł na niego przez sukcesyą, jeździ po
szlachcie, okłamuje ją, do czego ma talent osobliwy
i pod pozorem, że jedzie odbierać jakiś ogromny spa-
dek po babce na Ukrainie pożycza pieniędzy, których
oczywiście nigdy nie odda.

Prezes zbladł ze wzruszenia i gniewu, że dał się
tak łatwo uchwycić w sidła, zastawione przez oszusta
i odwrócił głowę do okna, aby ukryć swe pomieszenie.
Morski mówił dalej:

— Nie tylko w zamku królewskim, ale i w stolicy
nie tak prędko będzie się mógł pokazać. Z zamku wy-
rzuciła go niełaska monarsza, a w Warszawie czekają go
inni..., aby go uścisnąć serdecznie...

I wymownym ruchem ręki dał do poznania, jakie
miałby powitanie.

Zurowski ledwie mógł dosiedzieć na miejscu, gdy
wszedł Kniaziewicz: zerwał się przeto na jego powita-

nie, a po chwili wybiegł do sypialnej komnaty, po której przechadzał się szybko, aż zmęczony usiadł przy otwartém oknie. Powiew świeży orzeźwił go i uśmierzył wzburzenie. Ze spokojném obliczem wrócił do swoich gości.

Kniaziawicz przy powitaniu Toci zręcznie jój doręczył mały liścik jenerała.

Dziewczę, skraszone rumieńcem, poskoczyło do swéj komnatki i czytało następne słowa:

„Niech matulce i jej Teklusi szczęście zawsze jak najlepsze służy: dla jój dobra niech się wszystko stanie podług jój życzenia i myśli. Życzę i z serca powiadam, widzieć jak najszczęśliwszą byłoby mi to wielkim ukontentowaniem. Niech niebo matkę i córkę błogosławi, niech i ojca, chociaż nieprzyjaznego mnie, szczodrem zleje bogactwem i zdrcwiał. Życie wszyscy w zgodzie, w przyjaźni, szczęśliwi, a mnie pozwólcie, abym przynajmniej zapatrywał się. Wznaszam teraz ręce z ufnością prawdziwą, że moja modlitwa przyjętą będzie. Dobra noc, niech sen wam przyjazne objekta do upodobania stawia, niech nic nie przerwie snu dobrego. Całuje nóżki wasze

Tadeusz.“

Po przeczytaniu całego tego listu, załzawiły się jój oczy, ciężkie westchnienia pierś podniosły, gdy usłyszała

głos ojca, na który zadrżała.. Otarła co prędkiej oczęta, schowała liścik i spokojna powierzchownie wróciła na salą.

Niedługo weszli Zaremba i Raciborski; rotmistrz Potocki, został u jenerała na kwaterze. Ożywiło się towarzystwo. Młody kadet usiadłszy przy prezesowej, opowiadał jój szczegóły kawalerskiego śniadania i swoje wypadki, że się mało nie udawił i nie zachłysnął z powodu panny Brygidy i rotmistrza Zaremby. Śmiała się tak serdecznie rozweselona opowieścią Raciborskiego, że prezes uradowany jój humorem, zbliżył się do niej, a całując jój ręce, prosił kadeta o powtórzenie przygód śniadanych.

Zaremba tymczasem, w jak najlepszym humorze, opowiadał pannie Brygidzie, jak tajemnicę jego serca wydano, ale rad jest temu, bo otwartość lubi, równie jak i szczerść żołnierską.

Gdy Orlewska na uboczu z cicha rozmawiała z Książewiczem — Tocią bawiła posła, który jój opowiadał wiele nieznanych szczegółów o Kościuszcze. Wreszcie chodząc po sali, weszli na ganek: tu Morski zniżył głos i długo mówił, a chorążanka słuchając go, bladła i czerwieniała na przemiany, wreszcie podając mu rękę, którą ucałował z uszanowaniem, rzekła spokojnym głosem:

— Uważałam to nad moje siły, lecz wzmocniona

pana posła radą i zachętą, spełnię odważnie. Ale proszę, niech to zostanie dla wszystkich głęboką tajemnicą. —

Wcześniej rozeszło się zebrane towarzystwo: Matka po modlitwie już snem spokojnym zasnęła: wszyscy spoczywali, dwie tylko osoby czuwały, trawione niepokojem. Żurowski chodził po sali zamyślony i Tucia, w kątku ukryta, która niespodzianie przed nim stanęła, a rzuciwszy się na kolana, gorącemi łzami oblewała jego ręce.

Co Tucia mówiła załkanym głosem, nikt nie dosłyszał, bo i ojciec cicho odpowiadał — z początku surowo, a potem padłszy na kanapę, nie mogąc dziewczęcia od nóg swoich oderwać, płakał z niém razem.

Po północy blada, zmęczona, przeboleła wróciła do swój komnatki. Lampka nocna rzucała słabe światło, przy niém ujrzała oblicze spokojne, uśmiechnięte swojej przyjaciółki.

— Szczęśliwa, szepnęła sobie, może śmiało marzyć o swój miłości i o Karolu; ich związkowi nic nie stoi na przeszkodzie.

Uklękła przed obrazem Boga-rodzicy, a po gorącej modlitwie, padła bez siły na posłanie i wkrótce sen młodości zakleił jój oczy, serdecznemi łzami zroszone.

Nazajutrz powrócił do Międzyborza Kościuszko,

a Walenty doręczył mu liścik, pisany drżącą ręką ołówkiem, który zaledwie zdołał przeczytać *).

Stary kredencierz uwiadomił go, że panna chorążanka słaba leży, że nawet znacznie zmizerniała. — Jenerał prosił go, aby przyszedł niedługo, bo odpisze.

Pełen niepokoju — usiadł i skreślił następne słowa!

„Oddaję Ci wzajemnie, ale łzami skropione do-branoc. Lękam się o twoją matkę, niechże ona się nie gryzie na przymówki, albo impet dobrego, lecz nie-spokojnego umysłu, dla swej choroby. Niech pamięta że ma dzieci, dla których zdrowie swoje szanować po-winna. Uściśnij ją serdecznie, jak ciebie kocha, może dla ciebie uczyni: ucałuj ją szczerem serca przywiąza-niem swoim. Ona cię przytuli dobrocią zwykłą swoją. Niech zaśnie dobrze, baw ją i rozrywaj aby nabrała przychylnych do zasnania myśli. Ty, co tak czuła je-steś, zmniejsz ją, abys nie traciła zdrowia, które dla wielu jest potrzebne. Lecz co za okoliczność wypadła, powiedz mnie, abys tak razem zapadła, i u nóg ojcu leżała. Powiedz proszę mój aniele, co ci powiadał, aby raził tak dalece serce twe tkliwe, i sam potym płakał.

*) „A propos pisz wyraźniej, gdyż połowę utracam ukon-tentowania, albo jeżeli napiszesz ołówkiem, umocz w wodę to się litery nie stracą.“ (List T. Kościuszki do Tekli Żurowskiej).

O szczęściu moim nie wiesz, że trwa na każdym miejscu dla mnie? Nie widzę tego, ale nawet na każdym miejscu nie życzę. Miałas mi wiele napisać co się stało pomiędzy tobą a ojcem. O tym wszystkim nic nie wiem. Nie wiem o twym zdrowiu jak się masz teraz? Co myślisz nawet, radbym wiedzieć, radbym nawet być w sercu twojem, i ogarnąć sercem moim całą. Każdy moment o ciebie niespokojnym mnie czyni. Radbym przewidział myśl twoją i zaspokoić do ukontentowania twego. Co do mnie, wszystek drzę, ale nie od zimna, lecz z wewnętrznej niespokojności, cały mój umysł pomięszany, gorycz w mém sercu, i czuję gorączkę, szarpiącą me wnętrności. Idź spać, i zaśnij w myślach tobie miłych i zdrowszą widząc matkę przytul głowę do spokojności poduszek, okryj się pełnym duszy ukontentowaniem, a otwórz swe piersi z sercem do ucałowania przezemnie, nadstaw i ust choć delikatne, nie obrażę mem pocałowaniem z przywiązania. Oddaję się téj opatrności, która nam wszystkim jest dobroczynną. Jeszcze raz niech cię pocałuję: odchodzę, bo w myślach zawsze przytomnym jestem ciebie: daj nóżki, jeszcze raz bywaj zdrowa).“*

Na wiadomość o słabości chorażanki nadbiegł doktor Stakensmitt: zbadał uważnie stan choréj: szepnął

*) Dosłownie z autografu T. Kościuszki.

kilka słów do ucha, na które skraśniała rumieńcem, ale i uśmiechnęła się rzewnie.

Otoczona troskliwością matki, panny Brygidy i przyjaciółki, orzeźwiała, gdy Walenty nieznacznie podał jej liścik powyższy jenerała. Po przeczytaniu go zachowała troskliwie, aby nikt nie wiedział o bolesnej scenie z ojcem, który teraz nadzwyczaj pokazał się czułym.

— Miěj nadzieję, moje dziecię! może Bóg dozwoli, że się wszystko odmieni na szczęście twoje: szepnął jēj, odchodząc, a te słowa więcej pomogły, jak wszystkie lekarstwa.

W godzinę bowiem już ubrana siedziała na ganku, weselsza, lubo z przybladłym nieco licem.

Zurowski coraz większy niepokój utajał w sobie. Gryzł się oszustwem szambelana i stratą pewną dwustu dukatów, ale nie dowierzał Kościuszcze, tém bardziej, że znów otrzymał list bezimienny z ostrzeżeniem, iż jenerał zamyśla o wykradzeniu córki. — Znał jēj miłość i przywiązanie, bo mu sama na kolanach wypowiadała się ze swych uczuć. Nie wątpił, że Kościuszko łatwo do ucieczki namówić ją potrafi. W liście tym szczegółowy miał opis przygotowań do uwiezienia chorążanki. — Stracił głowę, wybiegał z domu, a robiąc tajemnicę przed wszystkimi, sam śledził każdy krok córki i jenerała. — Podchodził niby przechadzką pod dziedziniec jego kwatery, ukryty patrzył w otwarte okno od komnatki córki, czy nie uj-

rzy jakich znaków umówionych*). Ale w kwaterze Kościuszki głęboki spokój panował: generał czasami siadywał na ganku, zatopiony w smutném dumaniu a w otwartém oknie ukazała się tylko panna Tekla rzucając wiązanke kwiatów Kniaziewiczowi i zobaczył dygającą siostrę na głęboki, pełen uszanowania ukłon kłusującego rotmistrza Zaremby.

Te czatyabrały mu kilka dni czasu.

Długo się wahając, powziął stałą myśl jak najrychlejszego wyjazdu do domu. Zaprosił więc tegoż wieczora z generałem i posłem wszystkich znajomych oficerów, a po kolacyi, spełniając staropolski zwyczaj:

„Wiwat! kochajmy się,“ oznajmił, że nazajutrz w południe już opuszczają Międzybórz!

Jak piorun uderzyła ta wiadomość Kościuszkę. Prezesowa i Tucia były do niej wcześniej przygotowane.

Zaremba i Kniaziewicz nagle posmutnieli: — nawet zawsze wesoły i gotów do radosnego śmiechu Raciborski osowiał.

Żurowski żegnając zebrane towarzystwo, rzekł z więcéj rozpodgoném obliczém.

— Chociaż się rozdzielamy, przyjaźń nasza zostanie,

*) „Dziś uważałem, że się koło okna przechadzał a was i mocno się patrzył w stronę ku mnie: zapewne jest w podejrzeniu jakowém, ale myśleć źle o nas niepowinien, i sam siebie krzywdzi i nas.“ (Z listu Kościuszki do Tekli Żurowskiej).

a każdego z was, gdy raczy odwiedzić moje skromne progi, przyjmę z otwartém sercem, „chlebem i solą a z dobrą wolą.“



— Konia! prędkiej konia dawaj Janusz i siadaj na swego, wołał rotmistrz Zaremba.

— Konia! wołali razem, przed stajnią stojąc. Kniaziewicz z Raciborskim.

Potocki już siedział na swoim gniadoszu, który rżał radośnie i grzebał ziemię kopytem.

Przed kwaterą jenerała głęboki spokój panował. W komnatce panien pusto było. Tucia siedziała zapłakana z przyjaciółką swoją i odczytywała list Kościuszki z pożegnaniem.

„Nigdy a nigdy o tobie niezapomnę, mocno jesteś w mem sercu wrażona, aby odmiana sprawić mogła przez czas i odległość: prędkiej twoje zamieni się widokiem młodszych, grzeczniejszych i bogatszych, jak ojciec ma nadzieję: ale żartuję, twoje serce wiem, że tchnie duchem przywiązania. Twój umysł dalekim jest rządzenia się powierzchownością. Chcesz tylko szczerego serca, i masz go we mnie. Rozpatrz się jednak w charakterze moim, aby pomiędzy plotkami prawdy o mnie nie było, i pozwalam różnych użyć sposobów ale otwartych, inaczej wiem że twoja dusza

tak dobra, brzydziłaby się postąpić inaczej. Wyjeżdżacie do Kordonu) jak długo zabawić myślicie, polegam na waszej delikatności serca i charakterze. Jeżeli odmiana stanie się, chociaż przeciwna mnie, a uszczęśliwiająca moją Teklusię, lubo zapłaczę, ale kontent będę losu jej. Używaj dobrych dni promenady. Zabawiaj się z matunią, jak najlepszą powiem w świecie. Schyl główkę na łono jej przywiązania dla ciebie, i zaśpij umartwienie z ucałowaniem zobopólnem i świętym zaufaniem jedna ku drugiej. Zabawiaj się czemkolwiek rysowaniem albo książką, czyli ogródkiem, abyś zdrowia nie straciła, które jest darem największym natury. Szanuj zdrowie swoje, i niech szanuje matunia nasza dobrodziejka: użyj sposobów do wybicia z czucia jej wrażeń przykrych dla niej. Nie wspominam o sobie, co mnie zadajecie ran z waszego niezdrowia! Bóg by dał, abyśmy żyć mogli razem! Bóg by dał, aby ojciec inszem widział mnie okiem, albo nie miał łatwowierności i niepowodowałby się przez drugich. Niebo z nami by było, uszczęśliwienie zobopólne, miłość, wdzięczność, uleganie i przywiązanie jedno tylko wi-*

*) Tak nazywano po pierwszym podziale kraju Galicyą. Żurowski mieszkał w województwie podolskiem, ale miał zastawę w Galicyi, i tam właśnie wyjechał z Międzyborza.

dziane by było. Może pobiłdzilem w pisaniu do ojca, ale otwartość zawsze na to narażona jest. Nie umiem myśleć i mówić inaczej; prawda w sercu i w ustach moich jest zawsze, a każdy ma nieprzyjaciół mniej lub więcej.

„Do ciebie teraz obracam się matko dobrodziejko, i ucałowawszy stopy twoje, dziękuję za twe świadczone łaski: przyjmij nieskażone dla ciebie uszanowanie z serca szczerego pochodzące, przyjmij wdzięczność, która się z życiem moim skończy: przyjmij i szacunek, który tak wysoki mam.

„Trzeba cierpieć na świecie, bez umartwienia miejsca nie ma, i słodzić nam tylko potrzeba przychodzące. Mając serce tak czyste, charakter tak wielki, czucie tak delikatne, trzeba mieć wewnętrzną satysfakcję, która jest najprzyjemniejsza: odrzucić potrzeba wszystkie martwiące rzeczy a zmniejszyć one rozumem swoim. Gdzież poszukać osoby, o którejby nie gadali, ale czystość sumienia ma swą nagrodę w duszy. Perswaduje ci matko dobrodziejko, co sam wykonać nie zdołam, ale masz więcej cnót i przymiotów, których ja nie posiadam.

„Da Bóg, tak się spodziewam, przy niewinności naszej, że szczypiące honor drugich żmijki w ciem-

ności zawsze zostawać będą przed prawdą, której światłość zawsze im szkodliwa. Nocy im są przyjazne jak socom lub niedoperzom, które szkodzą uśpionym niewinnym ptaszętom, ale dzień nadejdzie i znikną: dnia się zawsze trzymajmy, a Bóg nam dopomoże. Oddaję was opatrności, która i dla nich jest dobroczynna.

„Jedźcie z moim życzeniem, a bądźcie zdrowi i wszystko nam się powodzić będzie. Zawsze z wam będę chociaż nieprzytomny: sercem i myślą, które będą stateczne!

„Podłość nie przystaje do mnie, płaszczenie się równie, a nie mając nic do zarzutu, wesołym okiem podnieść głowę w górę mogę, ale nie pogardzającym na nikogo. Niech się stawi kto do zarzutu, a każdego zawstydzę, niech się nie boi zemsty: ale świadkami będę bronić się, i okażę prawdę, a nareszcie, jeżeli mam być zawsze w podejrzeniu, mam sprawować zawsze umartwienie, uchylę się do wszystkiego, abyście byli szczęśliwemi. Boże daj wszystko co chcecie; ja spokojności życzę, życzę w przyjacielu jeżeli otrzymam, znaleźć zobopólne zaufanie, przywiązanie, delikatność, czułość, tkliwość. Od głupich, zawistnych, złych, mściwych, zawsze będę mieszkąć; w obrębie małych szczęśliwości żyć pragnę.

„Zapytajcie się przecie uczciwych ludzi i niemających interesu: na przykład księcia generała Czartoryskiego *), Morskiego i innych w tej klasie: a jeżeli oni co z tego o mnie powiedzą, wiercie wtenczas. Ale podle dusze, przyzwyczajone do zmieniania z wiatrem sentymentów swoich, aby mieli wiarę? Ale wiercie co chcecie, daję wam na wolę.

„Macie rozum i piękny, możecie rozeznac sami prawdę od fałszu, ja zaś kontent jestem, jak myśle, i niechęę się zmieniac na żaden charakter tych wszystkich Jchmościów. Całuję nóżki matki dobrodziejki. Ściskam was serdecznie, na zawsze z statecznością **).“

Tocia po przeczytaniu tego listu, w którym z całą otwartością tak się wiernie odmalował, gorzkiemi zalała się łzami, bo na samym początku zrobił jój wyrzut, że go dla innych zapomni. Matka czytając, smutnie potrzasała głową, gdy zatętniła ulica i kłusem wyciągniętym nadjechał rotmistrz Potocki, zeskoczył z konia i wbiegł do komnaty, gdzie zastał we łzach chorażankę.

*) Książę Adam Czartoryski, jenerał Ziem Podolskich i dowódzca korpusu kadetów w Warszawie, gdzie się kształcił Kościuszko i zyskał jego względy i szacunek.

**) Podług autografu Kościuszki.

Od panny Tekli Potocki dowiedział się o powodzie smutku jej przyjaciółki, pożegnał więc na chwilę prezesową i pieszo pospieszył do kwatery jenerała. Niedługo wrócił i podał bogdance Kościuszki list, który z pospiechem odczytała.

„Rotmistrz Potocki uwiadomił mnie że byłem przyczyną łzów jej wylania. Tak drogie krople z pięknych zrenic, aby były zbierane z posądzienia mojego, w mém czuciu największe sprawia umartwienie. Kłękam przeto i całuję rączki póki jej nie przeblągam. Ale nie myśl, abym myśl miał kiedy oczerniać ją, tylko sposób otwartości mojej wrodzonej był skutek. Co widzę, myślę i słyszę, opowiedzieć osobie przyjaznej nigdy nie zaniedbałem. Teraz się poprawię, nigdy odtąd otwartości mojej do pani nie użyję, myśl nawet wstrzymaną będzie. Uszczęśliwienie drugich w największym u mnie jest poszanowaniu, i swoją sakryfikować jestem gotów, i to tak szczerze powiadam, jak wierzę istności przedwiecznej, a dobroczynnej dla nas. Daruj przeto mnie! Wznaszam tylko ręce, z prawdą uczciwego człowieka, abys była szczęśliwą.

„Już się niebo wypogadza, życie bez żadnej przeszkody w zamysłach swoich. Niech żaden moment nie zasmuci panią. Miej ten szacunek

i poważanie i miłość, jak teraz masz na zawsze. Niech koronuje wybrana miłość przywiązaniem stałym zobopólnie z obfitością pod myśl podpadających rzeczy. Niech nakoniec zdrowie, które wszystkim się staje dla człowieka, jeżeli nie może utrzymać na zawsze, utrzyma ją jak najdłużej. Zawsze się delikatnością w mych krokach wszystkich rządzić chciałem, a jeżeli przez ułomność zbłądziłem, niech jej dobroć serca wrzuci to w studnie zapomnienia.

Tadeusz *).“

List ten, jeżeli nieco uspokoił chorążankę, z drugiej strony zabolął ją, gdyż w nim Kościuszko użył nie jak dawniej jęj imienia, ale tytułował panią. —

Ukryła jednak cierpienie, starała się przybrać wyraz spokoju na piękném swoim obliczu. —

Wszystko już było gotowém do drogi: Prezes naglił, aby na nocleg wcześniej ściągnąć. Doktor matkę sprowadził ze schodów do pojazdu. Zaledwie wsiadły do karety, gdy usłyszano tętent koni i gwar głosów.

Pędzili galopem rotmistrze Potocki z Zarembą, Kniaziewicz i Raciborski, który wszystkich na swoim siwku prześcignął. —

Ruszyła kareta z miejsca — i z wolna zwróciła się ulicą pod samą kwaterą generała. Kościuszko stał

*) Podług autografu Kościuszki.

smutny w ganku i ciastką oddawał pokłon Toci, która się wychyliła przez okno karety. Chorążanka z zażwionemi patrzyła na niego oczyma i rzuciła mu wiązaną kwiatów: Kościuszko podbiegł, schwycił je, podniósł do ust i ujrzał kartkę, na której ołówkiem drżącą ręką napisała te słowa:

„Tadeuszu! wierną ci będę do grobu.“

Te słowa dziwnie nań oddziałyły:

— Konia! konia! przedź konia, Jędrusiu! — krzyknął z niezwykłym zapalem, biegnąc do kwatery, ażeby przypasać szablę i płaszcz zarzucić: ale nim wyszedł na ganek, już białonóżka osiodłana w pogotowiu stała, a przy niej siwy Jędrus. —

Kościuszko z rozjaśnionem obliczem wskoczył na siodło i wolnego stępa przejechał ulicę, ale za Międzybożem nacisnął ostrogami, a białonóżka jak wiatr pomknęła.

Pierwszy Raciborski bystrém okiem spojrzawszy za siebie, poznał pędzącego jeźdźcę. Zdziwiony zwrócił swego siwosza i podjechał bliżej:

— Czy masz co do życzenia, mój jenerale? zapytał z uszanowaniem.

— Mój Józiu — rzekł z uśmiechem Kościuszko — zręczny jesteś! urządz tak, abym swobodnie mógł się widzieć z damami, ażeby mnie nie zobaczył prezes.

— Dobrze! zaraz ostrożnie tak zamanewrujem, żeby nieprzyjaciół się cofnął.

Jakoż, gdy jenerał, zwolniwszy biegu, wstrzymał się nieco, kadet podjechał do ciągnącego się taboru karety, bryki brockiej w której prezes siedział i dwóch wozów ładownych, poszeptał z Zarembą, Potockim i Kniaziewiczem, a sam usunął się na bok. Niezadługo rotmistrz Zaremba oddał trębaczowi swego konia, a sam! przesiadł się do prezesa: po chwili bryka brocka, która szła za karetą, wyprzedziła ją i wyciągniętym kłusem pospieszyła naprzód. Zaremba namówił prezesa, ażeby wcześniej stanąć na noclegu i przygotować dla dam wygodę.

Kiedy już kurzawa zakryła ową brykę, Raciborski podjechawszy do Kościuszki i salutując po żołniersku, rzekł:

— Mój jenerale! nieprzyjaciel spędzony z pola, tabor oswobodzony.

Kościuszko podniósł głowę z zadumy, a uściskawszy rękę kadeta, w pełnym galopie posunął naprzód i przy drzwiczkach karety osadził białonóżkę w miejscu. Z okna jój już uśmiechnięta i uradowana twarzyczka wyglądała Toci, a matka wyciągnęła rękę na powitanie jenerała.

Kościuszko ucałował z rzewném uczuciem tę rękę, a patrzył z zachwyceniem w oblicze rozpromienione swój bogdanki. —

Kadet nasz teraz objął komendę nad całym tabor, znając dobrze okolicę i wybrane miejsce na

pierwszy nocleg. Po trzech godzinach podróży zatrzymał karete i dał znak jenerałowi. Już bowiem za laskiem przy dużej wiosce przed karczmą stanęła bryka brocka i prezes z Zarembą, chodzili, wydając gościnnemu polecenia.

Kościuszek pożegnał damy, a Toci szepnął: do widzenia! na co skłoniła główką, jakby dając znak zapewnienia!

XI.

Miejsce, gdzie Kościuszek wstrzymał swoją białonóżkę, było pełne powabu. Gaj dębowy, mieszany z brzozą, lipami i gdzie niegdzie modrzewiem, łączył się z dużym lasem, który okalał całą okolicę. Na uboczu przy gościncu stał domek gajowego z zabudowaniami gospodarskimi. Na środku małego podwórza kilkowiekowa lipa, jakby zielonym namiotem osłaniała go prawie zupełnie: na suchym wierzchołku dębu zaciągnięto koło i usłano gniazdo bocianów, które już wysiadywały młode pisklęta. Z ganeczka domku otwierał się widok na łąny zasianych pól, wielką karczmę i wieś ładną.

Kościuszek zsiadł z siodła i wszedł na podwórze, prosząc o gościnność. Żona gajowego powitała go radośnie, krzyknęła na chłopca, aby konia wprowadził do stajenki, dał siana i nasypał owsa do żłobu, a sama

kłaniając do kolan jenerała podług zwyczaju, prosiła, ażeby nie pogardził chlebem i solą, bo czém chata bogata, tém i rada.

Uprzejmie podziękował Kościuszek za tak gościnne przyjęcie i wszedł do pierwszej izby obszerniej. Ściany jej zdobiły obrazy świętych: Chrystusa Pana i Bogarodzicy, przed którą gorzała dniem i nocą lampka.

Gajowa tymczasem otarłszy stółek dębowy i stół, prosiła, aby Jasny Pan spoczął, dodając, że mąż za chwilę powróci z boru, a ona tymczasem zajmie się przygotowaniem wieczerzy.

Kościuszek usiadł zadumany, gdy niedługo wszedł gajowy i powitał swego gościa. Dobrego wzrostu, siwizną przypruszony, okazywał w całej postaci starego bywalca po świecie i więcej wykształconego człowieka. Zrzuciwszy borsuczą torbę i postawiwszy w kącie izby strzelbę, rzekł z uszanowaniem:

— Wielmożny pan pozwoli, że rozniecę płomyk na kominku; jakkolwiek ciepły wieczór, ale weselę na duszy człowieka, gdy izba rozjaśni się od ognia.

Kościuszek skłonił głowę — a gajowy co rychlej naniósł suszu i rozniecił płomień.

Gospodyni nie bawiąc, stół nakryła białym obrusem i zastawiła kwaśną śmietaną z razowym chlebem i kuraka pieczonego.

— Moja kobieta zwinęła się gracko — mówił

z uśmiechem radośnym gajowy: niech Wielmożny Pan spożywa zdrowo dar Boży, a kurak, po ormiańsku upieczony, jak pomarańcza się rumieni.

— Nie zasłużyłem sobie u was moi przyjaciele — mówił z rzewném uczuciem Kościuszko — na tak serdeczne przyjęcie, ale może będziecie w Międzyborzu, to proszę do swój kwatery: da Bóg odslużyć.

— Dawno już nie byłem w mieście i moja kobieta także, ale ludzie gadali, że tam stoi sławny nasz generał, co bił się strasznie na drugim świecie. Wszyscy go bardzo chwalą i oboje radziłyśmy go poznali. Bo proszę Wielmożnego pana, to rzadki i osobliwy człowiek! Król go nasz poważa i szanuje, ma wolny wstęp do niego na zamek, kiedy zechce, a on żadnym choćby najuboższym nie pogardza chudziakiem.

— Jak będziecie w Międzyborzu, rzekł Kościuszko, spożywając smaczno wieczerzę, to was poznamy z tym generałem.

Oboje gajowi skłonili do kolan, dziękując, że będą tak szczęśliwi i poznają generała z bliska.

W téj chwili zatętniło przed domkiem i Raciborski przed gankiem osadził siwosza.

— Jenerale! zawołał — czekamy na ciebie! Kościuszko wybiegł co żywo z izby.

— Hej! gospodarzu! weźcie mego konia do stajni! I to mówiąc, zeskoczył i wprowadził wierzchowca

na dziedzińczyk. Gajowy pochwycił cugle, a zbliżając się do kadeta, rzekł z ukłonem:

Za pozwoleniem Wielmożnego panicyzka, czy to jenerał z Międzyboża, co to był na drugim świecie?

— Ten sam — odpowiedział Raciborski — to nasz jenerał Kościuszko i nasz ojciec.

I spiesznie zawróciwszy się, pobiegł przed ganek, ażeby razem udać się w umówione miejsce. Gajowy stał osłupiały, równie jak jego kobieta.

— Mój Boże! — rzekła po długim milczeniu — to on sam był, a my go nie poznali! Taki dobry pan! muszę mu drugiego kuraka upiec na drogę.

Wieczór był cudny, czerwcowy. Księżyc wypłynął na jasne niebiosa i pełnem obliczem spoglądał na ciszę i spokój ziemski. We wsi słychać było gwar jeszcze, a po nad strumieniem lekka mgła osiadła. Chłód, co z boru przewiewał, orzeźwiał każdego. Kościuszko pędził galopem: nagle przystanął, jakby zmęczony i odetchnął głęboko. Znać pragnął uspokoić wzburzone serce.

W cieniu lip i dębów na łące — na rozesłanych dywanach i poduszkach siedziały prezesowa z córką i jej przyjaciółką. Potocki i Kniaziewicz bawili je rozmową; gdy nadjechał jenerał, Raciborski stanął na czatach.

Rotmistrz Zaremba z siostrą prezesa zostali w karczmie dla jego zabawy. Żurowski zręcznie, będąc w wy-

bornym humorze, tak rozmowę nakierował, że Zaremba oświadczył się o rękę panny Brygidy.

— Nie mam majątku — mówił — jak konia a szablę, ale mam zdrowe ręce do pracy i ochotę. Przy miłości i zgodzie to Bóg pobłogosławi i nasze stadło.

— Panie Rotmistrzu! — odrzekł poważnie prezes — robi mi to zaszczyt, że się z sobą zbliżymy więcej. Na początek gospodarki i ja mojej siostrze, którą kocham zawsze, dopomogę.

Panna Brygida rozrzuwniona taką dobrocią, pocałowała brata w rękę, a on ją uścisnął.

Przy ponczykku siedząc Żurowski z Zarembą, tak w rozmowie utonęli, że zapomnieli o wszystkich.

Tymczasem równie przyjemnie bawiło się zebrane towarzystwo w dąbrowie cienistej.

Zacna matka nie traciła bynajmniej nadziei, że przejedna męża, który zezwoli na połączenie córki z jenerałem. Kościuszkowski uszczęśliwiony siedząc obok swej bogdanki, uważał tę chwilę za najszczęśliwszą w swém życiu: równego uczucia doznawał Kniaziewicz, będąc pewnym wzajemności pięknej Tekli Orlewskiej. —

Nagle poskoczył ku stronie domku gajowego Raci-borski, usłyszawszy tętent koni i turkot pojazdu. Pędził nim żywo doktor Stakenszmitt, chcąc razem z całym gronem oficerów pożegnać raz ostatni swoich pacy-entów. —

Pojazd zatrzymał się u gajowego, a z kadetem nadszedł doktor, powitany serdecznie przez zebrane grono. —

— Nie mogłem przenieść na siebie — mówił — żebym jeszcze moich państwa nie zobaczył. Teraz — dodał z uśmiechem — mamy wszelką swobodę wykradzenia chorążanki, co tak turbowało naszego prezesa. Pojazd gotów, ksiądz proboszcz w Międzyborzu jeszcze nie śpi: jest mama dobrodziejka i są świadkowie. —

Smutnie potrząsnął głową Kościuszko:

— Nie taką drogą mogę poślubić chorążankę: zbyt ją kocham i szanuję, ażebym pozbawiał błogosławieństwa ojcowskiego.

Doktor uścisnął rękę jego i rzekł:

— Wiesz doskonale mój jenerale, żem żartował. Znamy cię wszyscy i twój szlachetny charakter.

Rozmowa się orzeźwiła, wszyscy byli w najweselszém usposobieniu, gdy Janusz nadbiegł i dał znać kadetowi od rotmistrza, że już czas.

Było to hasło umówione z Raciborskim.

Kościuszko czule pożegnał Tocię i matkę, polecając się przyjacielskiej pamięci panny Orlewskiej. Całe grono ruszyło ku karczmie, jenerał zaś samotny wrócił do domu gajowego.

Prezes powitał najserdeczniej doktora.

Okolo północy wszyscy polegnali go wraz z żoną i pannami.

Potocki, Zaremba i Kniaziewicz dosiedli koni, Janusz zatrąbił pojezdnego i ruszyli z powrotem. Pojazd doktora nadjechał: Stakensmitt wszedł w niego z Raciborskim, odprowadzony przez prezesa i razem z rotmistrzami ruszył gościńcem.

Gajowy z żoną, czekał z utęsknieniem na powrót jenerała, aby pokazać mu swe uszczęśliwienie, że mógł go poznać bliżej. Ale widząc, jak szedł zwolna z opuszczoną głową, ocierając oczy chustką, przygnębiony jakąś boleścią: nie śmieli ust oboje otworzyć.

Kościuszko usiadł na ganku milcząc i wlepił wzrok swój w oddaloną karczmę, gdzie ruch był niezwykły.

Towarzysze jego dosiadali koni, a Janusz wygrywał pojezdnego. —

— Czy nie macie gosposiu dzieci? — zapytał po długim milczeniu. —

— Mamy tylko, jaśnie panie jenerale, jedynaczkę! — odpowiedziała, schylając się do jego kolan. —

— Moja matko, poproś dziewczki swojej. Chcę ją poznać. —

— Jagusiu! Jagusiu! zawołała; wnet wybiegła dziesięcioletnia dziewczyna, świeża i rumiana, schludnie przybrana, ale z bojaźnią stanęła w kątku na widok pana.

Kościuszek dał znak, przyciągnął do siebie, a pogładziwszy po pełnej twarzyczce całując ją, wsunął jej dwa dukaty złotem na korale. —

Skraśniało dziewczę, nie wiedząc co robić, a gajowy z żoną z głośnym radośnym płaczem upadli przed nim na kolana.

— To nasze szczęście wielkie! mówił gajowy przerywanym głosem: widocznie Bóg nam błogosławić będzie i naszej Jagusi.

Kościuszek, wzruszony do głębi duszy, podniósł pocziwych ludzi i uściskał.

W tę chwilę nadjechali towarzysze broni i doktor. Wyskoczył z pojazdu Raciborski, dosiadł siwosza swego, a gajowy wyprowadził białonożkę. Stakensmitt pożegnał skinieniem ręki przyjaciół, spiesząc do Międzyborza. —

— Janusz! — krzyknął wesoło rotmistrz Zaremba, — zatrąb teraz naszą pobudkę: tém będą damy wiedziały, że ruszamy w drogę!

Trębacz po mistrzowsku zagrał: a cały orszak ruszył wolno gościńcem.

Pocziwa gajowa zapomniała o upieczonym kuraku, który miała ofiarować Kościuszcze na drogę!

Przed karczmą siedziały na ławeczce niskiej Tucia z przyjaciółką. Strumień, co się wił w dąbrowie, w pobliżu przepływał krętym korytem. Dziewoja wiejska

nabrawszy [w dzbanek czystej wody, wracając do najbliższego dworku, w którym mieszkał z rodziną, stary konfederat barski, zaśpiewała ślicznym głosem znaną piosenkę:

„Wyszła dziewczyna, wyszła jedyna,

Jak różowy kwiat:

Białe rączki załamała,

Czarne oczka zapłakała,

Zmienił jej się świat.

— „A czego płaczesz, czego żałujesz,

Dziewczyno moja?

— „Jakże nie mam płakać, jak nie mam
żałować?

Nie będę twoja.“

Rzewna nota melodyi wzruszyła obie dziewczęce: Tocią drżącą ręką pochwyciwszy dłoń przyjaciółki, rzekła:

— Słyszysz, Teklusi? i zanóciła na wpół z płaczem:

„Jakże nie mam płakać, jak nie mam żałować?

Nie będę twoja!“

— O dobrze! dobrze — mówiła dalej, że tej pieśni nie słyszy Tadeusz!

Ach! Tekluniu, smutna to wróżba dla mnie!

W tę chwilę wyszła panna Brygida, wzywając na spoczynek, bo już dawno po północy i już drugie kury dają znać o świtanie.

XII.

Za powrotem do Międzyborza dowiedzieli się od posła Morskiego Kniaziewicz i Potocki, że to on namówił i zachęcił chorążankę, aby ojcu wyznała swą miłość i przebłagała zawziętość jego przeciw Kościuszcze.

Żurowski wysłuchał cierpliwie téj spowiedzi, pohamował gniew gotowy do wybuchu z obawy nieprzestraszenia swéj żony, płakał ze swą kochaną Tocią razem, ale stanowczo odmówił pozwolenia swego na związek małżeński z jenerałem.

— Ja jadę do mojej bratowej kasztelanowej — mówił Morski. Starajcież się rozrywać naszego Amerykanina w smutku i boleści. Z natury skłonny do dumania, lękam się, aby nie wpadł w czarną melancholią. — Ty, rotmistrzu — zwracając się do Potockiego — i ty, rotmistrzu — wskazując Zarembę — razem z nimi, których tak kocha — rzekł, biorąc za ręce Kniaziewicza i Raciborskiego — połączcie braterskie usiłowania, żeby jenerała nie zostawiać w samotności. Wiem tylko jeden sposób, coby oderwał jego myśl od smutku...

— A jaki? a jaki? — zapytali wszyscy razem.

— Tylko wojna! a do téj nie ma teraz żadnego podobieństwa. Bywajcie mi zdrowi, kochani przyjaciele; idę do Kościuszki na pożegnanie.

I uściskał wszystkich po kolei.

Potocki zaprosił towarzyszków do swój kwatery na radę walną, co obmyśleć należy, żeby wynaleść rozrywkę generałowi.

Było koło południa. Gospodarz kazał podać starą litewkę i przegryzkę, złożoną z chleba, masła, bryndzy i wędliny.

Kieliszek obszedł kolejką.

Zaremba zapaliwszy fajkę, rzekł poważnym głosem:

— Głupia to rzecz miłość! co téż ona nie wyrabia z ludźmi!

Raciborski parsknął śmiechem, Kniaziewicz milcząc kiwał głową, a Potocki odpowiedział:

— Mój rotmistrzu, wielkąś prawdę powiedział. — czuje to dobrze nasz pocziwy Tadeusz...

— Czuje i sam rotmistrz — dodał Raciborski....

— Milcz, smarkaczu! — z dobrotliwym uśmiechem krzyknął Zaremba, puszczając mu gęsty kłęb dymu w oczy. —

Kadet odmuchnął chmurę gryzącą, gdy Potocki mówił dalej:

— No to jeszcze nic, gdy się kawaler z panną pokochają....

— Jak nie przymierzając nasz kochany rotmistrz z panną Brygidą — przerwał Raciborski.

— Dajcie mi tu pistoletu, albo dubeltówki, albo moździerza czy haubicy, żebym raz sprzątnął tę srokę!

— krzyknął niby gniewny Zaremba, a ścisnął i całował młodego kadeta.

— Ale ja wam powiem co lepszego. Znacie Kozietskich? Pobrali się z prawdziwej miłości i poswarzywszy się z sobą, poszli do rozvodu. Potem znowu zakochali się szalenie w sobie i ślub powtórzyli przed jedenastu laty. W rok później uszczęśliwieni kołysali dzielnego chłopca, co im się urodził w Skierniewicach. Teraz ma już lat dziesięć, dobrze jeździ na koniu i myślę, że będzie z niego tęgi żołnierz, mospanie *)!

— Ależ przystąpmy do wałnej narady, — przemówił milczący Kniaziewicz.

— Ja sędzę — rzekł po chwili namysłu Potocki, — że najlepiej będzie wezwać pomocy dam do tego; one najlepszy znajdą na to środek. Ja pojedę do księżnej Sapieżyny, wstąpię i do pani Grabianczynnej: Kniaziewicz niech jedzie do dobrej przyjaciółki Kościuszki, kasztelanowej Morskiej, gdzie znajdzie i naszego posła. Rotmistrz Zaremba odwiedzi Bejzymów...

— A mnie czy nigdzie nie wyprawicie? — zawołał płaczliwym głosem Raciborski.

— Mój Józiu — odrzekł Potocki — stryjenka twoja mieszka blisko Ihnatowic prezesa. Wpadniesz do

*) Przepowiednia się sprawdziła. Jest to ten sam sławny Kozietulski, co zdobywał wąwozy Somo-Sierra w Hiszpanii.

niój, niby ją stęskniony odwiedzisz, ale zarazem zobaczysz się z chorążanką.

— I z panną Teklą!

— I z panną Brygidą! — przemówili razem Kniaziewicz i Zaremba.

— I zapewne słodkie od nich bileciki wam przywieść! — dodał kadet, uśmiechając się wesoło.

Kościuszko w chwili téj narady siedział zamyślony nad mapą Rzeczypospolitój i zakresłał na niój jakieś linie i znaki. Pewny miłości swój ukochanój, wrócił do ulubionych zajęć: czytania, rysowania i zadumki.

Jędrzej tymczasem pomagał Januszowi, który, jeżeli trąbił wybornie pobudkę i pojezdnego, nie mniej był doskonałym kucharzem.

Podług umowy swojej dzień po dniu, zaczawszy od rotmistrza Potockiego, rozjeżdżali się nasi przyjaciele w okolice na narady. Jakoż ze wszystkich stron odbierał zaprosiny Kościuszko.

W parę dni odwiedził najbliższy dwór Bejzymów, gdzie zastał księżnę Sapieżynę z córką. — Księżniczka, która do grona swoich wielbicieli pragnęła policzyć i Amerykanina, z zachmurzoném obliczem go powitała, dowiedziawszy się o gorącej Kościuszki miłości dla Tekli Żurowskiej. Nie umiała i nie chciała ukrywać swego gniewu i rozjątrzenia.

Te odwiedziny zepsuły generałowi dobry humor,

z jakim przybył do Bejzymów: skrócił więc swój pobyt i jeszcze smutniejszy, jak dawniej wrócił do swój kwatery.

U kasztelanowej Morskiej znalazł przecie serdeczne, gościnne i prawdziwie przyjacielskie przyjęcie. Nie potrzebował ukrywać swego przywiązania do chorążanki, które gospodyni domu pochwalala ze współczuciem. Tu też bawił ochoczo i swobodnie, a zancą kasztelanową uważał jako wielką swoją przyjaciółkę.

Raciborski nie odwołczył ułożonego zamiaru: prosił Kościuszkę o urlop, nie mówiąc, gdzie ma zamiar jechać i nazajutrz Międzybórz opuścić.

Zurowski za przybyciem do swego dworu w Ihnatowicach, odetchnął z całą swobodą. Stał się jeszcze więcej troskliwym o zdrowie swojej panienki i czulszym dla córki. Spokojny o jój wykradzenie, zachmurzał nieraz czoło z powodu podejsia i oszustwa szambelana, który znikł jak kamień w wodzie. Zajęty gospodarstwem, w kilka dni przypomniał sobie dopiero, że na list Kościuszki, doręczony sobie przez Kniaziewicza, nie odpisał dotąd pomimo danego przyrzeczenia.

Długo rozmyślał i zadumany w swojej kancelaryi siedział. Dożył wreszcie z pugilaesu list naszego generała i z uwagą począł odczytywać.

Kościuszko pisał go w wielkiem rozdrażnieniu, odebrawszy list prezesa, w którym wyrzucał mu zamiar

wykradzenia córki. Czytał go już w Międzyborzu, ale pragnąc dać odpis, na nowo punkt za punktem przebiegał oczyma.

Zamiar zerwania ostatecznie z Kościuszką i odmówienia ręki córki stanowczo powziął. Do różnicy wieku, która była znaczna bo generał liczył czterdziesty piąty rok życia, a Tocią kończyła siedemnastą wiosnę, łączyła się uwaga, że jako żołnierz, powołany na pole walki, łatwo zginąć może i wcześniej owdowiałą żonę pozostawić. Przygody życia, które mu dały sławę, w jego umyśle przedstawiały charakter awanturniczy. Nie miał w ostatku pewności, czy rzeczywiście wieś dziedziczną posiada. Nie wahał się więc w swoim postanowieniu.

— Mojój Toci potrzeba szlachcica gospodarza — nie wojaka: spokoju — nie obozowych przygód.

Tak w myśli sobie powiedział i zaczął z całą uwagą list Kościuszki odczytywać na nowo. Ten sam list po pierwszém odczytaniu swego czasu otworzył Kościuszcze drzwi domu prezesa.

Teraz zadumał się Żurowski i spał głowę na rękę, gdy usłyszał lekkie pukanie do drzwi. Co rychléj schował list otwarty i odsunął zasuwkę, a po chwili weszła siostra Brygida z ożywioném nie zwykle obliczem.

Przyszłam donieść panu bratu, że do sąsiadki naszej przyjechał wczoraj dobrze nam znajomy kadet Raciborski.

Żurowski uradował się podwójnie — raz, że młodego chłopca pokochał szczerze, a powtórę, że zdarzała mu się dobra sposobność przestania odpisu jenerałowi.

A trzeba go prosić do nas: niech Walenty zaraz rusza i prosi na obiad. A wyklóczę się z nim i za uszy pociągnę, żeby być tak blisko i nie odwiedzić zaraz. Biegnij Brygisiu i wysyłaj kredencera.

Panna Brygida nie traciła czasu, a Walenty w pół godziny na połówce przywiózł kadeta.

Ożywił się cały dwór osmutniały w Ihnatowicach. Prezes przyjął go tak serdecznie, jak syna. Raciborski doręczył liściki pannie Tekli od Kniaziewicza i Brygidzie od Zaremby.

A do mnie — przemówiła rzewnym głosem Tocia — nie masz ani literki?

Raciborski opowiedział jój szczerze smutek Kościuszki i układ, jaki mieli między sobą.

— Jenerał nie wiedział, gdzie jadę, nie pytał o to i jam mu nie powiedział. Chciałem tylko państwo widzieć i dowiedzieć się, czy jakiej pociechy ztąd nie potrafię mu przywieść.

Po kilku dniach pobytu — to w Ihnatowicach, to u stryjenki, Raciborski przybył w ostatku na pożegnanie.

Tocia zapłakana doręczyła mu mały splot włosów ze swego warkocza dla Kościuszki: panna Brygida i Orlew-

ska odpisy swoje. Matka prosiła pozdrowić wszystkich, a szczególnie kochanego Amerykanina.

Na samém wyjeźdném prezes zaprosiwszy go do swéj kancelaryi, oddał list zapieczętowany, ażeby go do własnych rąk jenerała złożył. Raciborski uradowany, pewny że w nim wiezie najlepsze lekarstwo na smutek i tęsknotę ukochanego dowódcy, gnał co siły do Międzyborza.

XIII.

Po zachodzie słońca Raciborski przybywszy na leże, pospieszył wprost do kwatery jenerała i doręczył mu list, jako i dar chorążanki: ztąd pobiegł do Zaremby i Kniaziewicza, których uradował wiadomością o zdrowiu i odpisami ich bogdanek. Wrócił z równym pospiechem do domu i padł utrudzony, snem zmorzony.

Nazajutrz rano ze świtem przyszedł stary Jędrzej do Gila trębacza i pod wielką tajemnicą mu opowiedział, że się coś dziwnego działo w kwaterze Kościuszki.

— Jak tylko, mój kolego, (mówił sędziwy wiarus) młody kadet doręczył list naszemu jenerałowi, a ja wyczyszczony mundur przyniosłem do pokoju: widziałem

jak załamał ręce, ciężko wzdychał, porwał się z kanapy i chodził niespokojny a blady jak chusta. Ja wyszedłem, ale stanąłem w ogródku za krzakami bzuwemi tak, żem wszystko widział. Kilka razy brał ten list do ręki, wlepił oczy i rzucał go na stół. Coś do siebie gadał, ale nie dosłyszałem słowa. Potém usiadł i długo, długo płakał jak bóbr rzewnymi łzami, aż i mnie łzy słone na wąsy spadły. Nie kładł się wcale do łóżka, ale tak przez noc całą to chodził, to siadał. Drugie kury zapiały, kiedy chudziątko strudzone rzucił się na kanapę nie rozebrany i zasnął. Spi jeszcze, a ja tu do was, kolego, przybiegłem na naradę; możeby co nasi panowie oficerowie w tém pomogli.

Trębacz zamyślony uścisnął rękę pocziwego starca a sam pospieszył do Kniaziewicza, któremu opowiedział wiernie, co słyszał. — Ten nie tracąc chwili, stanął w kwaterze jenerała, ale już go nie zastał. Rano wsiadł był Kościuszko na konia i wyjechał za miasto.

Uchylił drzwi tylko przymknięte od sypialni Kościuszki: łóżko było nietknięte.¹ Na stoliku leżał list otwarty i przy nim drugi adresowany do Tekli Żurowskiej i jój matki. Kniaziewicz przebiegł go szybko oczyma:

„Teraz nie widzę sposobu po takim liście: na wspomnienie samo we mnie rozbudza krew. Dziękuję jednak za twoje łaski dla mnie, które w niewygasłej

pamięci u mnie będą. Twój charakter, przywiązanie dla córki rzadkie, będzie przykładem wszystkim, a monument dla ciebie jest zgotowany w sercach wszystkich dobrze myślących. Twoja łagodność pokryje umartwienia różne, jednostajność umysłu będzie zawsze uwielbienia godną. Daruj, że tak późno poznałem twój sposób myślenia: tym spieszniejszym bym był całować twoje ślady. Żyj szczęśliwa i długo, a nagrodę znajdziesz, kiedy będziesz chciała. Mój Boże! co za myśl okrutna, abym rwać miał prawa natury i pomimo ojca wyrwać mnie kochaną. Passyja to jemu dyktowała i odmieni się twarz we mnie na pogodę i jemu życzę z serca najpomysłniejszych momentów. A tyś serca mego ożywienie i coś miała być słodyczą całego życia mego Teklusi, daruj, że wyrazów stósownych nie znajduję w tym momencie, lecz z przytuleniem chustki do moich oczu skłaniam głowę moją do ucałowania twych nóżek z przywiązaniem stałym na zawsze.

„Nie podnaszaj mnie, ale podepcz wszystkie moje przyjaźni dowody, i utop w zapomnienie, moje dla ciebie kochanie odrzucony od ojca i od ciebie bydlę muszę. Obraz jednak twój w moim sercu zawsze będzie, twym duchem oddychać będę i twym sercem żyć będę; gdzie się obróce, cień twój śledzi mnie zawsze. Umysł napelniony obiektem, we wszystkich widokach twój portret

*znajduję, a chociaż mnie czynisz nieszczęśliwym, niech ciębie znajdę najpomysłniejszą. T. K. *)*

Kniaziewicz zadumał się nad tym listem.

— Zawsze (myślał sobie) w téj szlachetnej duszy tkwi rana, podejrzeniem zadana o podłość wykradzenia z domu rodziców téj, którą tak ukochał. Nigdy ból ten nie uspokojony! lada okoliczność odnawia go i oburzenie na nowo wzrasta. Więc to ostatnie twoje, mój jenerale, pożegnanie z tą, którąś ukochał tak czystą miłością!

Wtém zatętniał podwórzec przed dworem i zsiadł ze zmęczonej białonóżki Kościuszko. Kniaziewicz wybiegł naprzeciw niemu, a ściskając serdecznie podaną rękę, rzekł ze współczuciem:

— Jenerale! wiem wszystko, wszystko czytałem. Niech Bóg dobry ześle pociechę na twoję boleść.

I wzruszony do głębi serca z opuszczoną głową odszedł.

Osmutniało nasze grono przyjaciół w Międzyborzu: Zaremba i Kniaziewicz, uszczęśliwieni pewną wzajemnością swoich kochanek, taili radość i cicho między sobą wspominali ich imiona. Czasem schodzili się razem do zwierzyńca doktora, który szanując boleść milczącą Ko-

*) Podług autografu Kościuszki.

ściuszki, w przechadzkach wieczornych nigdy nie wspominał o przeszłości, a starał się zwracać rozmowę i uwagę na bieżące wypadki krajowe. Jakoż zachmurzał się coraz groźniej horyzont polityczny. Głuche wieści z końcem sierpnia nadbiegły z Warszawy do Międzybórza o knowaniach tajnych w celu obalenia Ustawy Rządowej 3 maja. Kościuszko z Kniaziewiczem w połowie żniwa wyjechali. Jenerał pragnął zobaczyć i odwiedzić miejsce swoje rodzinne w powiecie Słonimskim. Z rzewném uczuciem zroszonemi oczyma poglądał i powitał kolebkę swoją: ów dwór z podwójnym dachem w Mereczowczyźnie, skromny ogródek i tę alkowę, w której go do snu pieśnią matka kołysała. Wspomnienie jej przywiodło mu na pamięć i jego bogdanę, bo matce jego było także imię Tekla.

Obszedł dwór cały, ale zatrzymał się przed boczną alkową i powstrzymał Kniaziewicza.

Nie chódź tam Karolu: tam ściany jeszcze obryzgane krwią mojego ojca, który padł pod ciosami siekier morderców. Smutne i bolesne wspomnienie!*)

W ogródku usiadł zmęczony: pusto było we dwo-

*) Ojciec Kościuszki, popędliwego charakteru, srogo obchodził się z włościanami swymi; ci oburzeni jego tyranią, przywieźdzeni do rozpacz, napadli dwór i zamordowali go w r. 1768. — (L. Chodźko. Życiorys T. Kościuszki).

rze, żadnej znajomej twarzy nie spotkał: wszyscy byli to nowi mieszkańcy i poglądali nań, jak na nieznanego przybysza.

Nad wieczorem opuścił Mereczowszczyznę i wrócił z przyjacielem do Międzyborza.

W kilka dni nadbiegł kuryer z depeşami od księcia Poniatowskiego. Ruch niezwykle ożywił milczące i spokojne miasto.

Od téj chwili adjutanci Kościuszki rozbiegali się w różne strony. Raciborski, awansowany na podporucznika, prawie nie zsiadał z siwosza, rozwożąc rozkazy jenerała do różnych komend w okolicy Międzyborza.

Kowale na nowo przekowali konie kawalerji i do zaprzęgów używane. Opatrywano troskliwie wozy amunicyjne i robiono przybory, jakby w pogotowiu się miało do prędkiego wymarszu. Kościuszko od świtu zajęty był to mustrą piechoty i jazdy, to sprowadzonej artylerji, która strzelała do tarczy z dział dla wprawy. — Gromady rekrutów rozdzielano pomiędzy pułki, ubierano i wprowadzano w robienie bronią, obrotach i maszerowaniu.

Pobudki trębaczy, odgłos bębnow mieszał się z salwą dział i ręcznej broni. Kościuszko orzeźwiał w swym smutku: list swój, który czytał Kniaziewicz, przesłał chorążance do Ihnatowic. Kiedy po trudach całodziennych, odpoczywał w ulubionym zwierzyńcu Sta-

kenszmitta, doktor na pół z uśmiechem na pół ze smutkiem, mówił:

— No! mój jenerale, coś nadchodzą czasy wojenne. Dym prochowy z waszych armat i karabinów przygłusza woń moich roślin i kwiatów. Oby Bóg ochronił nas od klęsk spodziewanych.

Kościuszko odpowiadał tylko westchnieniem głębokiem.

XIV.

Przewidywania bliskiej wojny spełniły się nie długo; z wiosną 1792 nad armią Rzeczypospolitą objął główne dowództwo książę Józef Poniatowski. Kościuszczo oddano jedną dywizyą. — W maju jenerał opuścił Międzybórz, biorąc kierunek wskazany po nad lewym brzegiem Bugu.

Zaszła bitwa dnia 17 czerwca pod Zielencami, w której miał świetny udział Kościuszko. Armia odebrała rozkaz cofania się. Kościuszko ze swoją dywizyą stanął pod Dubienką.

Prezes Żurowski z powodu przechodu wojsk i niepokoju opuścił Ihnatowice i przeniósł się do Zahaj-

poła, małego folwarczku, który kupił w granicach Galicyi o dwie małe milki od Dubienki.

Dnia 17 czerwca równo z poranną zorzą huk dział i ręcznej broni z nad Dubienki spłynął wyraziście po roście i odbił się o drewniane ściany dworku w Zahajpolu, w prostym bowiem kierunku pole bitwy na milę nie było odległe.

Żurowski kazał sobie co prędzej osiodłać konia i z dwoma kozaczkami podolskimi na dobrych mierzynach ruszył do pobliskiego lasu. — Zaraz za borem wznosiło się wyniosłe wzgórze, z którego rozległy był widok na całą okolicę, a Dubienkę widać było jak na dłoni. Na środku wyrastało kilka dębów starych rosochatych i jodeł wysmukłych.

Żurowski dojechawszy na to wzgórze, zawołał jednego luzaczka.

— Iwanku! wleż na ten dąb, a co zobaczysz, mów mi zaraz.

Zwinny Podolak w mgnieniu oka zawisł na wierzchołku, ale dla dymu z armat i ręcznej broni, nic dokładnie widzieć nie mógł. Żurowski bliżej sam podjechał i lepij mógł widzieć krwawą walkę.

Po siedmiogodzinnéj kanonadzie nieprzyjaciół rzucił się do ataku. Kościuszko ze swoją dywizją, wynoszącą 4000 żołnierza, z dziesięciu działami, stanął pod Dubienką, prawe swe skrzydło oparłszy o graniczny słup

Galicji, lewe o brzeg rzeki Bugu. Słysząc było straszny okrzyk liczego nieprzyjaciela, bo 18000 liczącego wojska. Okrzyki te tłumiły wystrzały armat i karabinów. —

— Iwasiu! zawołał niecierpliwy Żurowski, posilając się z borsuczej torby, czy nasi się trzymają?

— Stoją jak dęby, panoczku! ani się razu nie zachwiali.

— Dzięki Bogu! On tam dowodzi — biedna moja Tucia i moja panienka. Pod Twoją obronę....

I odmówiwszy modlitwę, zostawiwszy Iwasia na straży, sam pospieszył do domu. —

We dworze pusto było; wszystko co żyło, pobiegło na granicę. W pokojach pusto, tylko w sypialni przed obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej klęczała matka z córką zapłakane i tak zatopione w modlitwie, że nie słyszały jego przybycia.

— Biją się jeszcze nasi — rzekł wzruszonym głosem, — Jenerał zdrów, żyje, wszystko ożywia, i trzyma się dzielnie. To prawdziwy bohater.

Tucia, która blada jak chusta klęczała, na te słowa poruszyła się żywo, wzrok jej zajaśniał ogniem, rumieniec zbarwił oblicze.

Żyje! zawołała, żyje! dzięki Bogu. O mój Tadeuszu! zanosłam gorące modlitwy do Opiekunki i Orędowniczki naszej. —

— Moja panienko i ty, Tociu, przygotujcie szarpi i bandaży; nasz doktor z Międzyborza lada chwila przybędzie, jużem dawno posłał po niego konie rozstawione. Zbierzcie czeladź, nagotować strawy, bo czas do roboty. Ja jadę na granicę i niedługo wrócę.

W miarę, jak się zbliżał do lasu, okrzyki ustały, a strzały armatnie coraz się oddalały. Kiedy dojechał do wzgórza, Iwanko już się zsunął z dębu i ukazał drożynę przez las idącą. Żurowski poskoczył co żywo i ujrzał niesionego przez włościan krwią oblanego Zarembe, a przy nim idącego z obwiązaną ręką Raciborskiego.

— Petruk — krzyknął na kozaczka drugiego — pędź do dworu po moją brykę. Gnaj co żywo.

Sam przyskoczył bliżej.

— Panie Józefie! czy żyje nasz rotmistrz?

— Zdaje się, bo oddycha jeszcze, ale ciężko ranny.

— Biedna Brygisia! — pomyślał sobie, gdy w téj chwili zatętniła bryka brocka i wyskoczyła z niej panna Brygida w towarzystwie Toci.

Żurowski nie rzekł słowa, tylko ręką wskazał na rannego.

— Mój Stasio! krzyknęła z płaczem.

Ranny na ten głos znany otworzył oczy i poruszył ręką.

— Iwanku! — zawołał Żurowski — zrób posłanie w

bryczce, położym rotmistrza. Opatrzony był na prędcie, ostrożnie złożono go w bryce i przywieziono razem z Raciborskim. Na dziedziniec właśnie zajechał doktor Stakensmitt; ten obejrzawszy rany Zaremby, rzekł kiwając głową:

— Rany ciężkie, ale wcale życiu nie grożą. Za parę miesięcy będzie zdrow jak ryba i stanie jeszcze ze swoją narzeczoną na ślubnym kobiercu.

Panna Brygida ze smętnym uśmiechem pocałowała go w ramię.

Raciborski miał lekko przestrzeloną lewą rękę. Zająto się troskliwie rannymi. Nazajutrz przyszła wiadomość o świetném zwycięstwie pod Dubienką Kościuszki i cofnięciu się jego do Krasnegostawu. Kniaziewicz, Potocki i Kwaśniewski z téj krwawej walki wyszli szczęśliwie. Nieprzyjaciół straciwszy do 4000 w zabitych i rannych, nie śmiał postępować śladami cofającego się zwycięzcy. Tucia, zajęta chorymi, orzeźwiała w swoim smutku; kilku jeszcze przybyło rannych żołnierzy, którzy znaleźli wygodny przytułek i opatrzenie. Doktor po tygodniu wyjechał w okolice i gdy go oczekiwano z utęsknieniem, przybył, ale wielce zmieniony i pomieszany. Dał znak Żurowskiemu i obaj wyszli do ogrodu.

— Wszystko przepadło — rzekł z icha — przelana krew daremnie! Król Jegomość przystąpił do konfederacji Targowickiej...

— To być nie może, zawołał Żurowski.

— Kiedy tak jest, mój prezesie, odrzekł Stakensmitt i pokazał manifest Stanisława Augusta.

Żurowski zaledwie go przeczytał, rzucił z oburzeniem na ziemię i załamał ręce w niemój rozpacz.

— Cóż robi książę Józef Poniatowski, co Kościuszko?

— Obaj, mówił doktor, podali się do dymisyi wraz z wszystkimi wyższymi oficerami. Trzeba ostrożnie i naszym rannym o tém powiedzieć; porucznikowi możesz prezes powiedzieć, a ja sam przygotowuję rotmistrza. Zdrowie w tym człowieku żelazne: inny leżałby ze dwa, trzy miesiące, a ten po trzech tygodniach już zdrów będzie.

Zarówno Raciborski, jak Zaremba przyjęli tę niespodziewaną wiadomość z oburzeniem i bezzwłocznie podali się do uwolnienia. — Raciborski z ręką na temblaku, podziękowszy serdecznie gospodarstwu za pomoc i gościnność, wyjechał do Warszawy. Zaremba zaczął powoli podnosić się z łoża boleści. Już o swój mocy chodził, gdy siedząc na ganku, posłyszał turkot bryczki i rżenie swego kasztana. Porwał się na nogi, a jakże się uradował, gdy zobaczył Janusza Gila trębacza, po cywilnemu przebranego, cztery swoje konie, a w dodatku dzielnego siwka Raciborskiego!

Po uspokojeniu się nieco w kraju prezes zamyślał wrócić się do Ihnatowic, a po ślubie siostry oddać Za-

rembie Zahajpole w dzierżawę za tak niską cenę, ażeby się prędko mógł czego dorobić. Na początku września wesele odbyło się ciche i w kółku rodzinném. Prezesostwo z córką w kilka dni odjechali, a państwo młodzi zabrali się do gospodarki.

Żurowski teraz stał się coraz czulszym dla córki, mówił z nią często o Kościuszcze, układał plany, jakby na przyszłość marząc o połączeniu ich węzłem małżeńskim. — Ale Tucia teraz słuchała słów ojca coraz obojętniej, a zasięgała starannie wiadomości, co się dzieje z generałem. Pomagała jój do tego jój przyjaciółka Orlewska, która mieszkając w Krakowie, donosiła, że widziała się z Kniaziewiczem i że Kościuszko, który wyjechał do Drezna, zawsze ją kocha, ale zajęty losami kraju, poszedł na dobrowolne wygnanie.

Rok następny 1793 przeminął w największej ciszy. Z nowym rokiem 1794 zaczęły ciche i tajemne wieści obiegać kraj cały, a we wszystkich ustach było tylko imię Kościuszki. Orlewska donosiła z Krakowa, że pan Tadeusz spodziewany nie długo — że świetna gwiazda jego zajaśnieje blaskiem słońca, że powinna być dumną, iż człowiek taki ukochał ją i poświęcił jój swe serce.

Tucia spoważniała wielce w obejściu: milcząca, na wspomnienia dawne, jakie ojciec teraz często przywodził, uśmiechała się smętnie, nie nie odpowiadając. Matka, zdziwiona tą zmianą widoczną, raz zapytała:

— Tociu! co ci jest? takeś się zmieniła.

— Moja Mateczko! odrzekła, — nie zmieniłam się, tylko z wesołej dziewczynki dojrzałam na kobietę myślącą, którą już osobiste szczęście nie zajmuje. On, bohater — dziś wygnaniec dobrowolny, wróci (mówiła cichszym głosem), a imię jego rozbrzmi się sławą nie tylko w Polsce, ale po całym świecie. On mnie kocha, a ja dumną jestem miłością jego i przy jego imieniu moje kiedyś może wspomną. Dojrzałam, moja mateczko, cierpieniem i bólem — dziś mnie nic nie obchodzi, tylko ścigam jego ślady, gdzie się obraca. Teklusia mi pisze, że wkrótce pojawi się w Krakowie — wtedy, mateczko moja, pospieszymy tam, abym go chociaż z daleka zobaczyć mogła. Przyszekasz to mi, moja droga?

— Dobrze moje kochane dziecię! — odrzekła zacna matrona, zanosząc się od płaczu.

XV.

Rok 1794—1800.

W skromnym dworze Zahajpola suty się palił ogień na kominie; siedząc przy nim i paląc fajkę drzemał rotmistrz Zaremba. Bliżej okna siedziała jego żona na kanapie, kołysząc małego synka.

— Brygisiu złota! — rzekł rotmistrz — czy Janusz jeszcze nie wrócił?

— Nie mój, Stasienku, spodziewam się go dopiero najprędzej jutro rano.

— Moja Brygisiu, przeczuwam, że mnie na apel zawołają, bo znowu się chmurzy na naszém niebie.

— Nie będę cię zatrzymywała, gdy powiesz mi: trzeba iść, Brygisiu.

— Brygisiu złota — mówił, powstawszy i siadając obok małżonki — Bóg mi dał wielkie szczęście, dając ciębie za żonę.

I całował ją i pieścił.

— A nasz Tadeuszek śpi jak suseł. Żeby tylko ojca pamiętał!

Westchnął ciężko i opuszczył głowę na piersi.

— Nie było wiadomości z Ihnatowic?

— Bratowa z Tocią wyjeżdżają do Krakowa, tam bawi i Teklusia.

— Kniaziewicz i Potocki — mówił rotmistrz — siedzą tam oddawna. Ja czekam wiadomości od Raciborskiego. Czy wiesz, ożenił się, ma już syna i córkę, a dzieci tak piękne jak ojciec. Chowam mu siwosza zdrowo, może jeszcze go dosiędzie, jak ja mego kasztanka.

Kiedy domawiał tych słów, drzwi się roztwały i wszedł trębacz Janusz. Brygida zadrżała, a rotmistrz zerwał się, przystąpił do niego i zapytał:

— I cóż nowego?

— Panie Rotmistrzu! już czas, wołają nas do apelu. Jutro konie będą gotowe i siwosz naszego porucznika. Oto rozkaz.

Zaremba odczytał pismo i rzucił na komin.

Żona z cicha przy kołysce łkała.

— Brygisiu, złoto moje! łzy na stronę, tyś małżonka rotmistrza Zaremby. Zrób przybory, bo jutro z rannym brzaskiem hajda na koń i w pole! Janusz oczyścić trąbkę swoją! Oddział jazdy niech się zbierze w lesie nad granicą, damy hasło ze wzgórza pod dębami.

Zaremba do północkska pisał. Skreślił list z pożegnaniem do Żurowskiego, oddając pod jego opiekę żonę i syna, a na pamiątkę swemu pacholęciu napisał kilka wyrazów serdecznych.

Jak tylko świtać zaczęło, pożegnawszy płaczącą żonę, pobłogosławiwszy śpiącego syna, westchnął ciężko, przeżegnał się i ruszył w towarzystwie Janusza, w swój mundur ubranego, i czterech jeźdźców. Siwka Raciborskiego prowadzono luzem przy bryczce.

Gdy przybyli na toż samo wzgórze, z którego Żurowski patrzył na bitwę pod Dubienką, Janusz zatrąbił pobudkę, a z lasu wysunęło się do stu jeźdźców, nad którymi objął Zaremba komendę i ruszył wolnego kłusa boczną ścieżką.

Było to w połowie marca 1795 roku. Równocześnie

prezesowa Żurowska z córką dojeżdżała do Krakowa w towarzystwie tylko Walentego kredencera.

Za przybyciem do dawniej stolicy Jagiellońskiej, stanawszy w rynku, dały znać Tekli Orlewskiej, która natychmiast przybiegła, ciesząc się serdecznie z ich przyjazdu. Nazajutrz Potocki i Kniaziewicz odwiedzili je wieczorem; czekali na Kościuszkę, o którym umyślnie rozpuszczono wieść że wyjechał do Ameryki. Tocia z bijącym sercem słuchała tych wiadomości.

Zaremba niedługo spotkał się z Raciborskim, któremu oddał siwka. Cały oddział, do 200 koni wynoszący, zwrócił drogą w Krakowskie.

W nocy z dnia 23 na 24 marca Kościuszko przybył do Krakowa. Uwiadomiona o wszystkiém prezesa z córką raniutko przybyły do kościoła OO. Kapucynów, gdzie w kaplicy Loretańskiej w ciemnym zakątku stały. Wkrótce przybył Kościuszko z generałem Józefem Wybickim i tu poświęcono im szablę. Wtedy po błogosławieństwie kapłana wznosząc swój pałasz Kościuszko zawołał wzruszonym głosem:

— Daj Boże zwyciężyć lub umrzeć!

— Słyszysz matko jego przysięgę? — rzekła drżąca Tocia. — On ma inną teraz bogdanę, dla mnie wszystko się skończyło....

I padła krzyżem w gorącej modlitwie.

Ukryta w oknie była świadkiem uroczystości ogło-

szenia Kościuszki naczelnikiem narodu, a gdy wyruszył z miasta, co rychlój z matką wyjechała napowrót do Ihnatowic.

Zurowski po odebraniu listu rotmistrza pospieszy do Zahajpola, pocieszając osamotnioną siostrę. Zachęcał do wytrwania i nadziei, że Bóg jój męża zachowa.

Wieść o zwycięstwie pod Racławicami dnia 4 kwietnia obiegła cały naród, poszły zatem klęski i pomyślna obrona stolicy na przemiany.

Na początku października w Ihnatowicach oczekiwano nowych wiadomości z obawą; przybyła właśnie pani Zarembina uradowana listem od męża, w którym jój donosi, że zdrów wraz z Raciborskim, że widział się z Kościuszką, ale teraz z pułkiem swoim zdala jest od niego.

Dnia 10 października straszna wichura zadęła, ciemne chmury pokryły niebo. Starzy ludzie wróżyli jakieś wielkie nieszczęście, jakoż w kilka dni przyszła straszna wiadomość, że dnia tego stoczoną została krwawa bitwa pod Maciejowicami i wojsko polskie poniosło klęskę, a Kościuszko ranny wraz z wielu innemi dostał się do niewoli. Temuż losowi uległ i Kniaziewicz. Chorążanka, gdy się dowiedziała o tém, zbladła jak marmur, oczy jój przygasły, całą noc przetrwała na modlitwie, a na-
zajutrz chodziła po całym dworze milcząca wzdychając.

Orlewska przybyła tego dnia, złamana wiadomo-

ścią o Kniaziewiczu. Obie przyjaciółki uściślały się w milczeniu. żadna łza ich boleści serca nie ulżyła.

Zarembina trawiona niepokojem, pospieszyła pierwszych dni listopada do Zahajpola, a w dni kilka na podwórzu z bryczką i sześciu końmi ukazał się Janusz, znowu bez munduru, tylko w kubraku.

Brygida na ten widok mało nie omdlała, zebrała resztę sił i wybiegłszy na ganek zawołała:

— Januszu gdzie pan? gdzie mój Stanisław?

— Żyje, zdrow i wkrótce tu będzie. Mnie wysłał przodem, a tu mam list do pani.

Brygida upadła na ławkę w ganku, jak przed chwilą, przestraszona, tak teraz radość odjęła jej siły. Wróciła do pokoju i odczytała pomyślną wiadomość, że prawdę powiedział stary Janusz.

W parę dni nadjechał Zaremba, ale osmutniały i ponury. Powitał serdecznie żonę, uściśkał syna, który do niego rączyny wyciągnął, ale pieścąc go, z płaczem mówił:

— Dałem ci imię, mój chłopcze, naszego jenerała, a on daleko się odbił... już go pewno więcej nie zobaczę, ani uściśnę jego ręki!

— A porucznik nasz Józef? — pyta żona.

— Biedaczysko! niewiem czy żyje! Kula armatnia urwała mu prawą nogę. Leży w Warszawie, daj Boże żeby wyzdrowiał.

— Cóż teraz będziemy robili nieszczęśliwi, mój Stasiu?

— Ha! zawieszę szablę na kołku, a wezmę się do pług, moja Brygisiu! jak powiedział mi nasz kochany generał. Cóż tam się dzieje z chorążanką i z panną Teklą?

— Siedzą, mój Stasiu, w Ihnatowicach z rozpaczą w sercu, bo płakać nie mogą; a łzy jedne, co czyszcza serce z bólu i cierpienia.

Odtąd rotmistrz odetchnąwszy po trudach obozowych, oddał się gospodarstwu i miał w swym smutku i samotności tę pociechę, że odebrał list od Raciborskiego, iż żyje, zdrow zupełnie, choć kaleka. Prosi, aby siwka, którego Janusz przywiózł do Zahajpola, przyjął w darze na pamiątkę, bo już go sam nigdy nie dosiędzie. W dopisku jego żona przyrzekała, że latem będą się starali odwiedzić Rotmistrzostwo z dziećmi swymi aby poznały małego Tadeuszka.

W Ihnatowicach załoba: prezesowa z córką i panną Teklą siedziały zamknięte, nie przyjmując nikogo. Żurowski posmutniał, ale wyjeżdżał często w sąsiedztwo dla zebrania jakich wiadomości. Coraz smutniejsze nadchodziły. Wreszcie padła jak piorun wieść o wyjeździe z Warszawy króla i ostatnim rozbiorze kraju.

Prezes za przybyciem do domu wszedł blady, jak trup do pokoju żony.

— Co ci to, Macieju? — zapytała wystraszona żona.

Żurowski nie nie odrzekł, tylko padł na kolana przed obrazem Bogarodzicy i zaczął coraz rzewniej płakać.

— Macieju, przez miłość Boską, powiedz, co się stało...

Wtedy szepnął jój tylko kilka słów ochrypłym głosem i padł krzyżem.

Zaremba na otrzymaną tę wiadomość nie odrzekł słowa, zdjął szablę z kołka, popróbował ją w zamachu, schował do pochwy, a potem gwiżdżąc piosnkę obozową, wyszedł do stajni. Brygida z przestachem śledziła jego kroki. W stajni długo rozmawiał z Januszem, ścisnął go, całował i wybuchnął głośnym płaczem. Nogi pod nim się ugięły i byłby upadł na wznak, gdyby go trębacz nie podtrzymał. Zaciągnął go na swoje derki i położył a sam pobiegł do pani. Brygida już biegła z anodynami i spirytusami nacierać skronie i pulsa, gdy z wielkiem podziwieniem zastali go stojącego, z dzikim wzrokiem, ale nikogo nie rozpoznawał. Z pomocą Janusza przeprowadziła go do dworku i w łóżko ułożyła. Dał się powodować jak dziecko, słowa jednego nie wyrzekł, tylko osłupiałem spojrzeniem przerażał. Po kilku godzinach zaczął się uspokajać i zmęczony znaczącym wysileniem zasnął twardo. Spał wbrew swemu zwy-

czajowi do piętnastu godzin, ale obudził się zupełnie bezsilny. Nie mógł się ruszyć, czuł ból w całym ciele i kościach. Po trzech dniach czulej opieki i starań żony podźwignął się z łóżka, zmieniony do nie poznania. Oczy zapadły, twarz wychudła, spojrzenie jakby zamdlone. Całą niemal zimę mało co mówiąc, siedział przed kominem, z podziwieniem Janusza nie biorąc fajki do ust, tak ulubionej niegdyś. Dopiero z wiosną zaczął orzeźwiać się nieco, na św. Józefa napisał list do przyjaciela Raciborskiego z powinszowaniem i pierwszą wypalił fajkę. Jakaż to była radość dla pocziwój Brygidy i Janusza, gdy dawnym tonem rotmistrz zawołał:

— Brygisiu złota! podaj mi chłopca naszego.

A do Janusza:

— Héj! kolego dajno lulkę.

Zaszła jednak w jego sposobie życia wielka zmiana. Kładł się później, niż zwykle, modlił się na klęczkach, a żona i Janusz podsłuchali nieraz, że płakał rzewliwie i coś sam z sobą długo rozmawiał.

Na wielkanoc pierwszy raz wsiadł na swego kasztana, a potem objeżdżał siwosza darowanego. Kiedy zsiadł z niego i ucałował go w oczy, Janusz widział, że łzy gęste spadały rotmistrzowi na wąsy.

XV.

Po wielkiej burzy wojennej nastąpiła głęboka cisza. Morski, nasz znajomy poseł wielkiego sejmu, na wiadomość o wyjeździe króla Stanisława Augusta i ostatnim rozbiorze kraju wydał tylko jeden krzyk bolesny i padł nieżywy: pękło w nim serce. Kniaziewicz, wzięty po klęsce pod Maciejowicami, po dwuletniej niewoli przybył do Wojcieszkowa w Lubelskie, gdzie mieszkała jego macocha, którą jak matkę kochał.

Osiadł w futorze wśród gęstych lasów, a w samotności upiększał swoją siedzibę wiejską. Założył pełen smaku ogród, drogi powysadzał drzewami. Tak oddany pracy, marzył o uroczej bogdance, którą widział w Krakowie w pamiętnym dniu, kiedy Kościuszki dłoń uściśkał po długim niewidzeniu.

W tym futorze zastał go Józef Drzewiecki, towarzyszy broni i walki pod Maciejowicami. Serdeczne było dwóch przyjaciół powitanie i długa rozmowa, po której Kniaziewicz powziął postanowienie niezmiennie.

Opuścił futor, który ukochał, na zawsze — pożegnał tę, co mu od lat dziecinnych miejsce najczulszej zastę-

powołała matki i wraz z Drzewieckim ruszył do Krakowa.

Tu po kilkoletniém niewidzeniu ujrzał Teklę Orlewską, która przy swój stryjence mieszkała. Rzewne było ich powitanie: Kniaziewicz odkrył jój swój zamiar przedarcia się do legionów; piękna zawsze panna Tekla, lubo z bólem serca i zażawionemi oczyma, nie powstrzymała go w tym szlachetnym zamiarze.

W przeddzień wyjazdu rano w kościele Panny Maryi na rynku, przy bocznym ołtarzu, odprawiała się msza święta. Siwy kapłan po jój skończeniu dał błogosławieństwo dwojga klęczącym i relikwiarz do pocławania.

Była to Tekla Orlewska i Kniaziewicz, którzy wobec Boga przyrzekli sobie wierność i że żadne z nich innych ślubów nie powtórzy.

Kiedy powstała ze stopni ołtarza dziewica, oblicze jój jaśniało szczególnym wyrazem rzewności.

— Będę ci wierną, mój Karolu, do grobu i pamięci i wspomnienie twoje nigdy mnie nie opuści! wyrzekła wzruszonym głosem.

— Będę ci wiernym i nigdy cię niezapomnę: od rzekł Kniaziewicz. Tu w téj świątyni przyjmij moje pożegnanie i ostatnie moje bądź zdrowa! z nadzieją że Bóg nas połączy i da upragnione szczęście.

Orlewska ze stryjenką wróciwszy do domu, w mo-

dlitwie i łzach dnie następne przepędziła. Książecz z Drzewieckim opuścili dawną stolicę Jagiellońską.

Piszząc do swój Toci w tydzień później, opowiadawszy szczegóły, zakończyła temi słowy:

— „Tak więc, moja droga, choć nie zaślubiłam Karola, uważam się teraz związaną jakby ślubem, któremu pozostanę wierną. On mnie kocha, jam narzeczoną jego, może Bóg odmieni łzy moje na uśmiech wesela.“

Grobową ciszę w Ihnatowicach przerwał niespodziewany wypadek. Pierwszych dni wiosny, w drugiej połowie maja, nadbiegł pod wieczór zadyszany arendarz, donosząc prezesowi, że do karczmy zajechała jakaś księżna, ale pomieścić się ze dworem, ani wygody dla siebie znaleźć nie może.

Żurowski wdział więc kontusz co rychlój na codzienny żupan i pospieszył drogą do karczmy, przed którą stała podróżna karetka i bryka brocka ładowna.

W izbie karczmy brudnej, zakopconej i dymnej robiono przygotowania do jej oczyszczenia i obicia dywanami: pod oknem siedziała dostojna podróżna, wachając co chwila z flakonika.

Żurowski już się dowiedział, że to była księżna Lubomirska, z domu hetmanówna Sosnowska, a zawdzię-

czając wiele téj rodzinie, rad był, że potrafi odsłużyć się jaką grzecznością.

— Mościa księżno! — rzekł, kłaniając się z uszanowaniem — zapomniałaś widać Wasza książęca Mość o staropolskiej gościnności i o wiernym służce domu Lubomirskich. Mój dworek niedaleko, czém chata bogata, tém i rada, ale znajdziesz Wasza książęca Mość równie jego wrota, jak i serca otwarte i chętne na przyjęcie tak znakomitego gościa.

Księżna żywo z ławki, dywanem okrytój, powstała, radość błysnęła na jój przybladłym licu, podała uprzejmie rękę prezesowi, który ją ucałował i wdzięcznie podziękowała, przyjmując ohołotnie gościnność ofiarowaną sobie.

Jakoż niebawem upakowano napowrót w części wydobyte rzeczy, a księżna kazawszy karecie i bryce jechać do dworu, oświadczyła chęć przejścia się pieszo wraz z szanownym gospodarzem.

Żurowski uszczęśliwiony przyjęciem gościny, szedł z odkrytą głową, pomimo że go księżna prosiła, aby włożył czapkę. Prezes niby nakrywał podgoloną czuprynę, lecz wkrótce zdejmował rogatywkę, narzekając, że wieczór ten nawet podczas bujnej rosy gorący i duszny.

Uwiadomiona wcześniej o przybyciu księżnej prezesowa, z córką oczekiwała na ganku i powitała nadcho-

dzącą z uszanowaniem. Księżna przyjęła skromną wieszczkę, a dziękując uprzejmie za tak gościnne przyjęcie, udała się wcześniej na spoczynek.

Przygotowano dla niej dwa pokoje, dotykające sali środkowej. Wszedłszy do swjej sypialni, prędko zrzuciła ubranie podróżne, a odprawivszy pannę służącą, zamknęła drzwi i jakby zmęczona usiadła na kanapce małej pod oknem.

— Spełniłam mój zamiar! Jestem tu — myślała sobie — i poznałam jego bogdanke, przy której zapomniał o mnie!

Było to w roku 1798, w lat siedem prawie od pobytu Żurowskich w Międzyborzu. Panna Tekla, owa pieszczona Tucia, liczyła teraz rok dwudziesty czwarty życia, a jakkolwiek przeszła wielkie cierpienia, wdzięki jēj w niczém nie ucierpiały i taż samą pięknoscia, co dawniej jaśniały.

Oblicze zachowała tak młode, że spojrzawszy nikt nie mógł jēj więcej liczyć nad lat szesnaście lub siedemnaście: wiotkość w postaci całej pozostała.

Blask oczu jaśniał dawném życiem, częściej wszakże rosily się łzami i zachodziły mgłą, przygaszającą ogień spojrzenia.

Jedna tylko, ledwo znaczna rysa na czole w chwili głębszej zadumy czasem wydatniała; wyżłobiła ją praca

myśli, pobudzanéj bolem serca, co straciło nadzieję szczęścia.

— Prawda, że piękna — myślała dalej księżna — i mógł ją ukochać, gdy mnie oddzieliło od niego na zawsze przeznaczenie smutne! Starajmy się bliżej poznać — może w jéj towarzystwie znajdę ulgę biednemu sercu....

Tłum wspomnień ją otoczył; myślą przeniosła się do owych Sosnowic w Lubelskiej ziemi, gdzie pierwszy raz Kościuszkę poznała i pierwszy raz młode jéj serce uderzyło gwałtowném uczuciem. Przed oczyma jéj duszy stanął ów dwór wielki hetmański, do którego wjeżdżało się mostem i owa oficynka murowana, w której z siostrą starszą Katarzyną, mieszkała pod opieką krewniaczki panny Karoliny Zenowiczównéj. Komnatka nie wielka, ale gustownie urządzona, pełna kwiatów i woni. Stół dywanem nakryty, na nim książki i papiery i obok trzy krzesła, które zajmował Kościuszko z młodemi uczennicami swemi. Na kanapce siedzi panna Karolina, haftując na krosienkach, nauczyciel opowiada dzieje Grecyi, a gdy spotka pełne uczucia spojrzenie pięknej Ludwiki, rumieniec krasi jego oblicze, zaczyna się jąkać i słów dobrać nie umie.

— Co ci to, panie Tadeuszu? pyta dobrotliwa ochmistrzyni haftująca.

— Nic to, nic! — odpowiedział pomięszany, — za-

pomniałem nazwiska greckiego wojownika, o którym miałem właśnie mówić.

Panna Katarzyna uśmiechała się wtedy, a młody nauczyciel, niby przepraszał swe uczennice, całował i ścisnął drobne rączki najbliższej siedzącej Ludwini.

— Ach! poszepnęła z cicha księżna, były to jedyne chwile mego szczęścia w całym życiu.

Westchnęła boleśnie, opuściła głowę na piersi, a łzy zabłyszczały w jej oczach...

Zdawało się w jej zadumaniu smutném, że słyszy cichy szept Tadeusza, jak wyznaje swoją miłość i namawia do ucieczki, malując wymownie całą przyszłość uroczą. Oblicze księżnej rozpromieniło się radością na to wspomnienie, ale wkrótce zasępiło na nowo, gdy przypomniała sobie groźne oblicze ojca i wygnanie z Sosnowic tego, którego tak ukochała.

Całą pamiątką po nim zostały jego ręką sadzone w okół dworu świerki i piękny park lip wonnych. — Potém nasunęła myśl coraz smutniejsze obrazy, samotność w oficynie murowanej i łzy jej ciche, tajemne niepodzielane z nikim. — I gdy ożywiała wspomnienia ubiegłe, stanęła postać jej narzeczonego, księcia Józefa Lubomirskiego — jej ślub i świetne wesele, na które wystąpił hetman z całym przepychem magnackim, a w lat kilka płacz i łkanie liczego dworu, gdy zwłoki ziemne i martwe spoczywały na wspaniałym katafalku.

I znów pozostała sama wdowa, ale teraz wolna i swobodniejsza.

Sława, którą się okrył w Ameryce Kościuszko, ożywiła w jój sercu dawne uczucie. — Widziała go w Warszawie, kiedy jój mąż przedstawiał jako dawną znajomość znakomitego generała. Ale Kościuszko w księżnie Lubomirskiej nie chciał poznać swój Ludwini.

— Jestem wolna teraz — mówiła do siebie — nie utraciłam wiele wdzięków, mam majątek, gdy on sam i opuszczony. Pojadę — ofiaruję mu swą rękę, której nie odrzuci, jeżeli zbyt nieukochał chorążanki.

To wspomnienie wywołało jój bolesne westchnienie.

— Trzeba zbadać bliżej wszystko — otwartością dojdę do celu.

O północy zaczęła lać ulewa: księżna rada jój była, bo Żurowski ani chciał mówić o jój wyjeździe.

Chorążanka po przybyciu księżnej do Ihnato wie zajęta wyręceniem matki w przyjęciu, nie pomyślała, że to jest ta sama Ludwika Sosnowska, którą Amerykanin pierwszą miłością ukochał. Ale w wieczorniej rozmowie, a szczególnie nazajutrz z kilku słów ojca odkryła tę wiadomość i zaczęła więcej uważać, że ją ściaga ciągle wzrok księżnej niespokojny.

Kościuszko wówczas już powrócił z Ameryki, gdzie był po wypuszczeniu z niewoli wyjechał i osiadł stale we Francyi. Księżna niecierpliwa, żeby się dowiedzieć

czy istnieje jeszcze jaki stósunek pomiędzy nim, a rodziną Żurowskich, zapytała z obojętném na pozór obliczem przy śniadaniu:

— Czy nie słyszałeś czego, mój chorąży, o jenerale Kościuszcze?

— Nic nie wiem, Mościa księżno! — odpowiedział spokojnym głosem — od czasu jego niewoli i wyjazdu do Ameryki, tyle wiem, co z gazet czytamy. Nikogo nie ma w naszych okolicach, coby miał z tym wielkim bohaterem naszym bliższe stósunki.

Księżna utkwiała wzrok badawczy w chorążankę, ale ta bez żadnego wzruszenia na obliczu, jakkolwiek żywiej jój serce uderzyło na wspomnienie ukochanego imienia, podawała jój konfitury własnego smażenia.

— Wasza książęca Mość, rzekła z uśmiechem wdzięcznym, nie możesz się pochwalić, że używasz małych przyjemności gospodyni wiejskiej w przyrządzaniu przysmaczków. My to je tylko szlachcianki mamy.

— Mój ojciec, odpowiedziała poważnie księżna, wyrósł na wojewodę i hetmana z prostego szlachcica, a mój tytuł, wierz mi, kochana panno chorążanko, oddałabym chętnie za jedną chwilę prawdziwego szczęścia....

Mówiła to głosem wzruszonym, a łzy błysnęły w jój oczach. Tocię rozbroiła temi słowy: spojrzała na nią pełnym współczucia wzrokiem. Zrozumiała go księ-

zna, bo po śniadaniu wzięła ją za rękę i przeszła do jej komnatki. Gdy były same, wyrzekła drżącymi usty:

— Nie chcę taić, kochana panno Teklo, że ja jestem ową Ludwiką Sosnowską, którą ukochał pierwszą miłością Kościuszko. To uczucie zrobiło go wygnańcem, ale dało mu sławę i głośnie imię. Wiem, że ciebie kochał z równym, jak mnie zapalem i to wiem — dodała ciszej — że cię jeszcze kocha.

— Mościa księżno, czyż zasłużyłam na to, aby przygojone nieco rany serca mego, na nowo otwierać i zakrwawiać? I załkała rzewnie.

— Nie tego, moja droga Teklo, chciałam — mówiła pełnym łagodności głosem księżna — pragnęłam cię poznać i przyznam się, bo fałsz mam w obrzydzeniu, że umyślnie tę podróż przedsięwzięłam. Miłość jego, to zaszczyt dla każdej kobiety, bo to człowiek szlachetny i znakomity. Jestem wdową, w pożyciu małżeńskim nie doznałam szczęścia, bo oddałam rękę stósownie do woli ojca, który miał słabość, że pragnął stać zawsze w rzędzie magnatów polskich. Umiem cenić niedolę drugich i twoje cierpienia, bom i ja przeboleła wiele w życiu mojem zawodów! Daleką jest zazdrość odemnie. Ta, którą ukochał Kościuszko, godną jest poszanowania, ja pragnę twój przyjaźni, a może znajdziemy, choć małą chwilę szczęścia, gdy będziemy sobie o nim mówili.

To wyrzekłszy, wyciągnęła ręce do chorążanki, która rzuciła się w jej objęcia i obie załkały cichym płaczem.

Ten uścisk księżnej, przechodząc przypadkiem, ujrzał Żurowski, odszedł na palcach do sypialni i w głęboką wpadł zadumę.

Księżna opowiedziała jej poznanie swoje z panem Tadeuszem, wzajemną miłość, a następnie, jak zmuszony był ich dom opuścić na zawsze. Tucia odkryła dzieje swego serca i pokazała wszystkie listy pisane do siebie i matki.

Odczytała je uważnie księżna, a zwracając chorążance, mówiła:

— Zawsze ten sam szlachetny i pełen zacnych uczuć!

Po czterodniowym pobycie opuściła Ihnatowice, dziękując uprzejmie gospodarstwu za tak miłe przyjęcie; a Tocię serdecznie ściskając, szepnęła z cicha: masz we mnie szczerą przyjaciółkę.

Odtąd pisywały często do siebie: księżna, mająca szerokie stósunki, donosiła chorążance o ważniejszych wypadkach z życia Kościuszki i przeniesieniu się jego do Szwajcaryi, gdzie w Solurze osiadł stale przy Zeltnerze, przyjacielu swoim, otoczony miłością i uszanowaniem całej jego zacnej rodziny.

Zerwały się jednak w kilka lat te stósunki, gdy

Tekla Żurowska, stósownie do woli ojca, oddała rękę Stanisławowi Chwalibogowi, skończywszy dwudziesty ósmy rok życia.

Rano w dzień ślubu po gorącej modlitwie, zanim włożyła godowe panny młodej suknie i wieniec mirto-
wy, napisała list ostatni do księżnej, rosząc go rze-
wnemi łzami, donosząc jęj o swém małżeństwie i że-
gnając ją, równie jak wszelkie wspomnienia dawnęj swęj
miłości.

Księżna odczytała go z głębokiém wzruszeniem.

— Teraz — rzekła do siebie — tylko mi przy-
stało czuwać nad jego samotnością i sędziwym wie-
kiem.



R. 1817—1839.

Upłynęło blisko lat dwadzieścia od chwili, gdy
księżna Ludwika odwiedziła Ihnatowice po powrocie.
pisała zaraz do Kościuszki list pelen uczucia, że pragnąc
bohaterowi uprzyjemnić i osłodzić samotne dni życia,
ofiaruje się czuwać nad jego sędziwemi laty: ale Ko-
ściuszko nie przyjął tęg szlachetnęg ofiary. — Teraz

w tęsknocie serca, zapagnęła chociaż raz go jeszcze zobaczyć. Wyjechała pod pozorem podróży do Włoch i zatrzymała się w Solurze w połowie maja 1817 roku. Nie spodziewał się takiego gościa generał, gdy odebrał bilet wizytowy, że księżna Lubomirska z domu Sosnowska, pragnie go odwiedzić.

Rzewne było powitanie księżnej i Kościuszki po czterdziestu trzech latach rozdziału. Starość na obliczu bohatera, wycisnęła w zmarszczkach i siwiźnie rękę swoją, ale zachowała oblicze nie zmienione i spojrzenie pełne jeszcze młodzieńczego blasku.

Księżna, owa Ludwisia ukochana, świeża jak róża, kiedy liczyła szesnasty rok życia, teraz zaczynająca sześćdziesiąty, zmieniła się wielce, nie zatrzymawszy żadnego śladu dawnego powabu, pomimo dóbr i staranności o płeć i podtrzymywanie wdzięków. — Raz po powrocie z Ameryki Kościuszek, będąc na wieczorze w zamku królewskim, był jęj przedstawionym przez męża, ale skromny i nieśmiały, ani spojrział w jęj oblicze, nie wyrzekł słowa, tylko się zdaleka z uszanowaniem uklonił i spieszenie odszedł. Zachowywał więc w pamięci owę twarzyczkę cudną dziewczicy, to uśmiechniętą, to załzawioną. Teraz zaledwie mógł rozpoznać ta sama też Luwika Sosnowska wojewodzanka, co to zatliła w jego sercu tak silne uczucie, które go wyгнаło z ojczystej ziemi na długie lata. Ale wkrótce

pogodził się ze smutną rzeczywistością, wdzięczny za pamięć, nie umiał dobrać wyrazów na podziękowanie. Księżna bawiła kilka tygodni w Solurze, i codziennie widywała generała. Były to dni wielkiej radości dla sędziwego starca, bo myśl jego bujała i kąpała się w słodkich wspomnieniach młodości.

Odwiedzała go kilkakrotnie w jego mieszkaniu, i zawsze dziwiła się nad skromnym umeblowaniem, jak i sposobem jego życia. Nie miał służby, ani powozu, wyjąwszy kilku wierzchowców darowanych mu od współobywateli, których dozorował jeden stajenny. Czarny i gruby chleb, proste potrawy i szklanka piwa lub wina lekkiego, składały jego wdzięczną strawę, jak burka lub płaszcz płócienny okrycie wierzehne na stary surdut granatowy. W otworze od guzika zwykł zatykać różę, albo czerwony gwoździć, i zdawało się, że nie może się obejść bez téj ozdoby. Wiedziała o tém przywiązaniu do tych kwiatów Tekla Żurowska, przesyłając mu do Międzyborza doniczkę z różą, czerwoną: teraz damy mieszkające w Solurze, ubiegały się na wyścigi w dostarczaniu mu nawet wśród zimy tych kwiatów, troskiwie hodowanych w pokoju. Poślanie jego składało się z twardego materacu, dwóch poduszek i lekkiej kołdry. —

Letnią porą zwykł wstawać o godzinie piątej, a w zimie o szóstej. Po śniadaniu w towarzystwie rodziny

Zeltnerów, udawał się do swego pokoju i pracował: około dziesiątej rano, wyjeżdżał konno, samotny, i umyślnie obracał drogę w ustronie odległe od gościńca, aby niewidziany przez nikogo mógł swobodnie podumać.

Księżna wywiedziawszy się o sposobie życia i rozkładzie godzin dnia całego, tak się urządziła, ażeby mu w niczém nie przeszkadzać. Śmiała się serdecznie, gdy właśnie w czasie jój pobytu zdarzyło się, że Kościuszek szczególnie roztargniony, siadłszy na konia, zapomniał wziąć z sobą pieniędzy. Ubodzy, zwykle oczekiwali go na drodze, którym rozdzielał jałmużnę. Koń, tak był nazwyczajony, że na widok ubogiego stawał, i dopóty nie ruszył, dopóki nie zobaczył, że miał doręczony dattek. Teraz właśnie, za ledwie podwórze opuścił, zaszedł Kościuszek żebak; szuka pieniędzy nie ma; chce zwrócić konia, ale ten, jak mur stoi, nie pomaga ani szpicruta, ani ostrogi. Mówi więc do żebraka:

— Mój przyjacielu! udaj przed moim koniem, żeś odebrał jałmużnę, bo ja na przechadzkę nie pojadę, a sam przyjdź do mnie w południe, to wsparcie swoje dostaniesz.

I wyciągnął rękę do nastawionego kapelusza: biedny się uklonił, a koń dopiero był posłuszny swemu jeźdźcowi. —

Kiedy w poufnej rozmowie księżna wspomniała o jego samotności, Kościuszko odrzekł z westchnieniem.

— Przypomniał mi ją rzewnie przed parą laty pan Jullien. Przybył tu w towarzystwie syna swego, i młodego Amerykanina Mortona. Zaprosiłem ich raz z moim przyjacielem Zeltnerem na przechadzkę do lasku St. Verena, który pani tak lubisz i gdzieśmy byli. Był to piękny, jesienny wieczór, wiatr chwilowo zrywane listki rozwiewał. Jullien zadeklamował wtedy mały wierszyk Arnaulta, którego treść dziwnie odbiła się w mém sercu. Nie pamiętam całego, ale ten tylko ustęp: „Zerwany z pnia twego listku biedny, zeszedł listku, gdzie podążasz? Ja sam tego nie wiem... burza dała złamała, który był jedyną moją podporą; wiatr mną pędzi to w doliny, to w góry, a biegnę tam, dokąd leci i liść róży i liść laurowy.“ Jakieś smutne przeczucie, szepnęło mi wtedy, że na obcej ziemi skończę smutne życie, i nie mogłem się od łez powstrzymać*).

Księżna, widząc głębokie wzruszenie starca, odwróciła jego uwagę rozmową o Polsce i znajomych mu osobach. Widząc go w weselszym usposobieniu nazajutrz przy wieczornej pogadance, chcąc wydobyć z niego, czy też nie zapyta o tę, którą pragnął poślubić, przypominała

*) Jullien w dziełku swoim p. n. „Notice biographique Thurs. Kościuszko“ wspomina o tym zdarzeniu. —

kwaterę jego w Międzyborzu, kasztelanową Morską, Bejzyniów, księżną Sapieżyngę i doktora Stakenszmitta, ale generał milczał uporczywie, westchnął tylko boleśnie i odwrócił głowę. —

Ostatniego wieczora, kiedy księżna miała nazajutrz rano opuścić Solurę, Kościuszko prosił jęj, jakby przewidując bliski zgon swój, aby mu co na pamiątkę zostawiła. Księżna spełniła jego życzenie, przesyłając mu z Luzanny złoty pierścień z napisem, przyjaźń cnocie: ale ten dar znalazł Kościuszkę na śmiertelnych marach. Umarł dnia 15 października 1817 roku. Księżna, na wiadomość o jego zgonie, wróciła co rychléj do Solury, a przywdziawszy grubą żałobę, towarzysząc pogrzebowemu obchodowi, już jęj do końca życia swego nie zrzuciła!

W końcu maja 1818 roku, wyjechał z Willanowa Julian Ursyn Niemcewicz do Odessy. Jeden z noclegów wypadł mu na Wołyniu w Batnie, gdzie w starym pałacu przemieszkiwała wojewodzina Sosnowska, matrona licząca lat sto trzy wieku. Dotknięta ślepotą, pomnąc dokładnie i żywo wszelkie wspomnienia dawne, nowych pamięć zupełnie utraciła. Sypiała teraz do jedenastej godziny rano, piła kawę ulubioną w łóżku, poczem wstawiała i szła do pokoju, zasiadając do robienia węzełków. Mało co kosztowała obiadu, ale wieczrę jadła z nadzwyczajnym smakiem i ochotą. Rozmo-

wa przytomnych, granie w bilard, każdy gwar i hałas, bawił ją i rozrywał. Kiedy mówiono o świeżych lub niedawnych wypadkach, milczała, bo wszystko, co było obecnością, już w jej myśli zamarło, ale każde wspomnienie z lat dawnych, ubiegłych, znajdowało struny w jej sercu i pamięci, które musiały się odezwąć. — Nad sędziwą starością, matki, czuwała jej córka młodsza Ludwika, znana nam już księżna wdowa Lubomirska. Kiedy Niemcewicz przybył do Ratna zaprosiła go do pałacu, ażeby zobaczył jej matkę: pragnęła i sama odnowić dawną z nim znajomość *).

— Miło mi, że widzę pana, mówiła przy powitaniu, przyjaciel Kościuszki wszędzie znaleźć musi gościnne przyjęcie. —

— Mościa księżno, odrzekł sędziwy poeta, łyż mi tylko po nim zostały i bolesne wspomnienie. Tyle lat przebyliśmy razem w Polsce i Ameryce, w niewoli i swobodzie a odmówiło mi niebo téj wielkiej pociechy, ażebym mógł osłodzić ostatnie chwile jego życia. —

— Pragnęłam i ja poświęcić mu swe usługi w téj saméj myśli (mówiła księżna), ale ich nie przyjął! O! nigdy nie zapomnę téj chwili, gdy go ostatni raz widziałam. Rok temu prawie, pożegnałam go wieczorem:

*) J. U. Niemcewicza: Podróże historyczne po ziemiach polskich. Petersburg 1859 r.

rano wyjechałam z Solury: o pół mili na skrócie drogi na małym wzgórku, oczekiwał przybycia mego, aby się pożegnać. Byłto ostatni uścik jego ręki! Jużem go nie zobaczyła więcj!

Głos jój drżący ucichł, łzy zalśniły w oczach. —

Niemcewicz wprowadzony na salę, ujrzał niewidomą wojewodzinę, która na wspomnienie jego nazwiska, zaraz przypomniała sobie Kościuszkę, jego starania o rękę Ludwisi, gniew męża hetmana i inne ówczesne wypadki. Wspomniała, jak się bawiła wesoło, gdy grano pierwszy raz komedję Niemcewicza *Powrót* posła i jak sam król Jegomość śmiał się radośnie. — Gość okryty siwizną, smutnie opuścił głowę na piersi, przypominając lata pięknej swj młodości, wielkie i uroczyste chwile narodowe, które wyrwały się niestartemi głoskami w księdze dziejów przeszłości! Po herbacie opuścił pałac osowiały i długo dumał, z boleścią przechodząc wspomnienia, które się jak pszczoły na wiosnę coraz więcj roiły. Tak przebył większą część nocy. Przed opuszczeniem tych miejsc przyszedł nazajutrz rano z pożegnaniem do księżnej Lubomirskiej, przyjął go w rannym negliżu.

— Dziękuję panu za łaskawą pamięć: matka jeszcze śpi, bo jak wiesz zapewnie, że późno wstaje. Kiedyż się znowu zobaczymy.

— Może księżna pani raczy odwiedzić Warszawę, ja tam stały mieszkaniec.

— Tak rychło wątpię, czy przyjadę do stolicy; matka moja coraz częściej teraz zapada, muszę czuwać nad ślepą i samotną; to mój obowiązek, gdy wszystko zresztą, com ukochała, w grobie spoczywa!

Niemcewicz ujął jęj zawsze białą i kształtną rękę, i rozizewniony patrząc na oczy zapłakane, pocałował i odszedł. Wkrótce opuścił Ratno i smutną okolicę piaszków, przerosłych sosniną, i błót rozległych.

XXI.

Zwłoki zgasłego bohatera nabalsamowane w Solurze, przewiezione do Krakowa złożono w kościele świętego Floryana na Kleparzu. Dnia 19 czerwca 1818 roku uroczyste przeniesione zostały do katedry na Wawelu, gdzie Jan Woronicz, ukochany nasz wieszcz i kapłan, odprawił egzekwije, i pełném namaszczenia słowem, uczcił pamięć wielkiego męża.

We dwa lata postanowiono w rocznicę śmierci zacząć sypanie mogiły pod Krakowem, wówczas stolicy małej Rzeczypospolitej. Ze wszystkich stron Polski towarzysze broni, przyjaciele i ci, co umieli cenić zasługi

zmarłego wodza, bez różnicy stanu, płci i wieku, wszystko się zbiegło na ten obchód uroczysty dnia 15 października 1820 roku.

Z pól Raclawickich, na których pierwsze odniósł zwycięstwo, jako wódz powstania 1794 r., a w nim świetnie się odznaczyli kosynierzy krakowscy, przywieziono ziemię, co posłużyła za pierwsze nasypisko mogiły. Na główném miejscu téj krwawej walki, w najważniejszém stanowisku ubogi garncarz założył piec do wypalania naczyń; gdy przybyli kłopotali się, że właśnie z tego miejsca powinni wziąć ziemię, garncarz dowiedziawszy się o ich trosce i celu, oddał swój piec jedyny, sam go rozwalił i pomógł do nakopania ziemi.

Rano odgłos wszystkich dzwonów kościelnych zapowiedział uroczystość. Wielki Zygmunt z wyniosłej wieży katedry wawelskiej, górował potężnym głosem swoim nad wszystkimi, zdawał się jęczeć żałobliwie nad zgonem tego, co mu dzisiaj wdzięczność narodowa wznieść miała pomnik, trwalszy nad spiżowe posągi.

Jeszcze brzmiał głos jego rzewny i smętny, gdy na przedmieście Zwierzynieckie wjechał wóz pełen ziemi racławickiej, otoczony dawnymi wojownikami, co walczyli pod wodzą Kościuszki, a za nim szło grono mężczyzn i niewiast. Na czele postępował siwy, jak gołąbek, starzec, obok równie niemal sędziwa matrona. Byli to małżonkowie Żurowscy, za nimi szła Tekla córka

teraz zameżna Chwalibogowa, która wiodła za rękę dwunastoletniego syna Józefa, wraz z Zarembą, jego żoną i blisko dwudziestoletnim Tadeuszem, jedynakiem swoim.

Franciszek Paszkowski, generał i przyjaciel Kościuszki, przemówił do zebranych, przypominając jego żywot i zasługi. Stanisław hrabia Wodzicki, prezes senatu Rzeczypospolitej Krakowskiej, pierwszą taczka Racławickiej ziemi pokrył urnę kamienną, w której złożono opis założenia téj mogiły.

Huk dział i salwy z ręcznej broni milicyi krakowskiej zwiastował wszystkim uroczystą chwilę.

Zebrani całym tłumem rzucili się do taczek podług wskazówek dozorujących, sypiąc ziemię, wznosili podstawę mogiły. Kiedy po kilkogodzinnej pracy, uderzyła chwila spoczynku, każdy podążał w swoją stronę, do koczującego pod pogodnym niebem kółka swego.

Prezesostwo Żurowscy zasiedli przy próżnym wozie, a stary kredencierz Walenty, pomimo sędziwego wieku dobywał z krubki podróżnej zapasy żywności, kiedy od mogiły, pchając swe taczki, zbliżyły się dwie postacie. Niewiasta poważna wiekiem i grubą żalobą, i starzec pochylony już mocno, ocierając pot z uznojonego czoła.

Zaremba pierwszy wykrzyknął: „To nasz doktor

z Międzyborza,“ a prezes Żurowski zawołał: „To nasza księżna!“

Jakoż nie omylili się, była to księżna Lubomirska i poczciwy Stakenszmitt, którzy z dalekich stron kraju, spotykali się przy jednej pracy. Żurowscy zaprosili obojga do swego grona. Księżna powitała wszystkich przejmie, a Chwalikogowój podała rękę i w milczeniu uściśnęła serdecznie.

Skończyły się pierwsze dni obchodu, znajomi nasi opuścili Kraków.

Z klasztoru Panien Norbertanek na Zwierzyńcu, po ranném nabożeństwie wychodziły co dnia przez całe lato i jesień, do pierwszego śniegu, dwie zakonnice, które taczkami nawoziły ziemię, na coraz wyższą mogiłę. Była to z siostrą zakonną Tekla Orlewska, która wstąpiła do zakonu Norbertanek reguły św. Augustyna, gdy zaszła w lata, a narzeczony jój Kniaziewicz, najpiękniejszą młodość poświęcił usłudze ojczyzny. Wierni pozostali swój przysiędze wykonanej w kościele Panny Maryi w Krakowie przed dwudziestu z górą laty: Orlewska przywdziała suknie zakonne, Kniaziewicz osiadł stale w Paryżu i umarł bezżenny.

Kwaśniewski zginął w Hiszpanii przy szturmie do Saragossy, pod dowództwem Chłopickiego; Potocki w kampanii 1812 roku. Na dwa lata przedtém szambelan i staroście Koziegłowski umarł w szpitalu św. Rocha

w nędzy, niedostatku i opuszczeniu, a pocziwy doktor Stakensmitt po powrocie z Krakowa wkrótce zakończył życie w Międzyborzu.

Raciborski po śmierci rodziców żony zamknął sklep w Warszawie, sprzedał kamienicę i kupiwszy wioskę na Podlasiu, przeniósł się do niej z żoną i dwojgiem dzieci. Zaremba wysłał syna do stolicy Królestwa Polskiego i umieścił w Szkole podchorążych w chwili radosnej wiadomości, że ukochany Tadeusz awansował na podporucznika do 4go pułku piechoty liniowej wojsk polskich, zachorzał i umarł. Małżonka przywiązana, niedługo go przeżyła, mając tę wielką dla serca pociechę, że zakończyła życie na ręku ukochanego syna. Księżna Ludwika Lubomirska już spoczywała w grobie.

W pierwszych dniach października 1830 roku, zachorzała ciężko owdowiała pani Tekla z Żurowskich Chwalibogowa. Nadziei ratunku nie dawali doktorzy. Przy łożu umierającej siedziała w zakonném ubraniu Tekla Orlewska, która na wieść o śmiertelnej chorobie swojej przyjaciółki, porzuciła samotną celę w klasztorze Norbertanek krakowskich i przybyła przyjąć jęj ostatnie technienie — osłodzić ostatnie godziny życia.

— Którego to dziś? zapytała chora.

— Dziś jest czternastego, odrzekła siostra Tekla, patrząc w kalendarz.

— A więc jutro moja Tekluniu, zakończę moje cierpienia.

— Dla czegoż tak mówisz moja Tociu?

— Bo jutro rocznica jego zgonu i tam w wieczności połączą się nasze dusze.

Mówiła to spokojnym głosem umierająca i z przekonaniem religijném.

— Teraz podaj mi to pudełko. Widzisz Tekluniu, to taż sama piękna czara, którą wyrobił w Międzyborzu i przysłał w darze dla mnie przez poczwiwego rotmistrza. Patrz! to jego cyfra *T. K.*

Te powiedziawszy, z ożywioném obliczem przycisnęła ją do ust swoich zsiniałych.

— Weź to i zachowaj moja droga. Listy jego oddałam memu Józiowi. Czekam i czekam na jego przyjazd daremnie.

Nazajutrz siostra Tekla podług żądania choréj odmawiała modlitwy za umierającymi. Przybyły proboszcz miejscowy udzielił po spowiedzi świętych sakramentów. Chciała pozostać samą ze swą przyjaciółką tylko. Rodzina cała opuściła sypialną komnatę.

— Moja Tekluniu, mówiła coraz cichszym głosem, zapal gromnicę i podaj mi w rękę.

Zakonnica spełniła jéj żądanie.

— A teraz, módl się gorąco za zbawienie moje,

i polecaj duszę moją Bogu! Czuje, że życie ucieka! Ratuj mnie Tadeuszu!... Tekluniu!...

Wypadła gromnica ze skostniałej ręki, i zgasło tak też zarazem jój życie.

W tę chwilę zaturkotała bryczka na podwórzu. To jój syn Józef! przybiega, a widząc martwe zwłoki ukochanej matki, pada na kolana, oblewa je gorącemi łzami, i omdlałego wynoszą.

Żurowski przeżył jeszcze blisko lat trzy córkę swoją. Pomimo, że liczył około lat 90 wieku, zachował pamięć i czerstwość. Kiedy wnuka swego komu przedstawiał, zwykł po dawnemu zawsze mówić:

— Hoc loco, mam honor Mości Panie, prezentować moję partykułkę.

Obchodził złote wesele z ukochaną swoją panią. Umarł w roku 1833 i w tymże roku zgasła jego małżonka, nie mogąc przeżyć tak bolesnej straty!



Biblioteka Śląska w Katowicach

Id: 0030000967876



II 756883